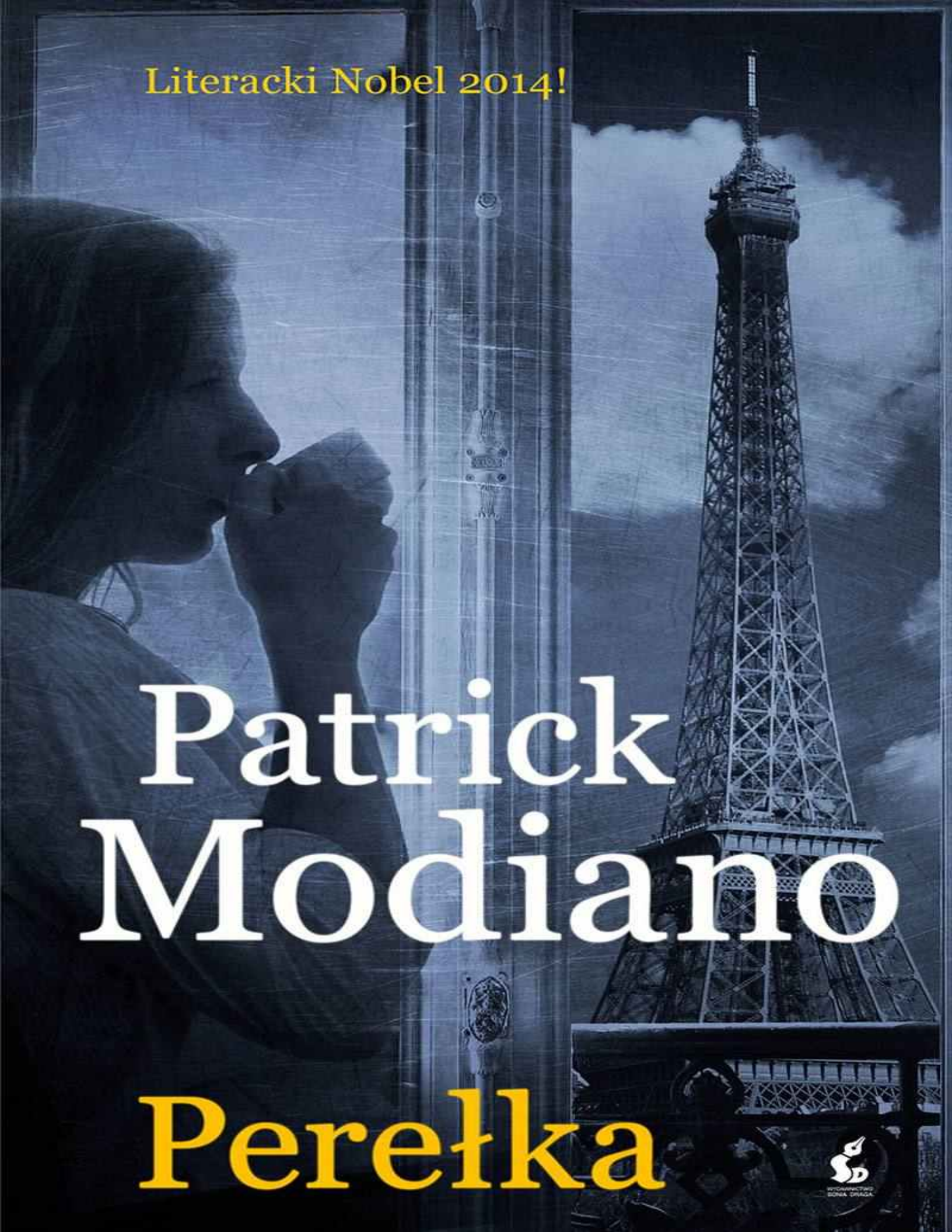


Literacki Nobel 2014!

A woman in profile is looking out a window. The window frame is visible, and the Eiffel Tower is seen through the glass. The scene is dimly lit, with a blueish-grey color palette.

# Patrick Modiano

## Perełka





# Patrick Modiano Perełka

Z języka francuskiego przełożyła  
Bożena Sęk



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:  
LA PETITE BIJOU

Copyright © Éditions Gallimard, 2001.  
Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska  
Korekta: Iwona Wyrwisz, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-7999-228-7

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadrage.pl](mailto:info@soniadrage.pl)  
<http://www.soniadrage.pl>  
<http://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga>

E-wydanie 2014

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Perełka](#)

Dla Ziny    Dla Marie

Wszystkie postacie w tej książce są  
wytworem wyobraźni i w żadnym  
wypadku nie należy ich kojarzyć  
z osobami rzeczywistymi.

Dwanaście lat minęło, odkąd nie nazywano mnie już Perełką, a znajdowałam się na stacji metra Châtelet w godzinie szczytu. Byłam w tłumie pokonującym na ruchomym chodniku korytarz bez końca. Jakaś kobieta miała na sobie żółty płaszcz. Moją uwagę zwrócił właśnie jego kolor, kobietę na ruchomym chodniku widziałam od tyłu. Potem szła długim tunelem, w którym widniały napisy „Kierunek Château-de-Vincennes”. Staliśmy następnie sztywno zbitą ciżbą na schodach, czekając, aż otworzy się bramka na peron. Znalazła się obok mnie. Wtedy zobaczyłam jej twarz. Podobieństwo do mojej matki było tak uderzające, że pomyślałam, iż to ona.

Wspomniałam fotografię matki, jedną z kilku, które zachowałam. Jej twarz jest na niej oświetlona, jakby reflektor wydobywał ją z ciemności. Patrząc na to zdjęcie, zawsze odczuwałam zażenowanie. W snach za każdym razem ktoś – komisarz policji, pracownik kostnicy – podsuwał mi zdjęcie antropometryczne, żebym zidentyfikowała osobę, którą przedstawiało. Ale ja milczałam. Nie wiedziałam o niej nic.

Usiadła na ławce, z dala od ludzi, którzy cisnęli się na skraju peronu, czekając na pociąg. Obok niej nie było wolnego miejsca, stałam więc z boku oparta o jakiś dystrybutor. Krój płaszcza z pewnością ongiś był elegancki, a żywy kolor nadawał mu nutkę fantazji. Żółć jednak straciła blask, niemal zszarzała. Wydawało się, że kobieta zupełnie nie zważa na otoczenie, toteż przeszło mi przez myśl, czy zostanie na tej ławce do czasu przyjazdu ostatniego składu. Profil miała taki sam jak moja matka, o charakterystycznym nosie z lekko zadartym czubkiem. Takie same jasne oczy. Takie samo wysokie czoło. Włosy były krótsze. Nie, niewiele się



zmieniła. Włosy miała nie tak jasne, lecz w sumie nie wiedziałam, czy moja matka była naturalną blondynką. Przy zaciśniętych ustach potworzyły się jej zmarszczki goryczy. Czułam pewność, że to ona.

Przepuściła pociąg. Przez kilka minut peron był pusty. Usiadłam na ławce obok niej. Potem znowu zbity tłum zalał peron. Mogłam wtedy nawiązać rozmowę. Cóż, nie znalazłam właściwych słów i za dużo ludzi było wokół nas.

Przysypiała na ławce, lecz kiedy hałas składu był jeszcze odległym drżeniem, wstała. Wsiadłam za nią do wagonu. Rozdzielała nas grupa mężczyzn, którzy głośno rozmawiali. Drzwi się zamknęły i wówczas pomyślałam, że powinnam była wsiąść jak zwykle do metra jadącego w przeciwnym kierunku. Na następnej stacji fala wysiadających wypchnęła mnie na peron, później wróciłam do wagonu i przybliżyłam się do kobiety.

W jaskrawym świetle wyglądała na starszą niż na peronie. Lewą skroń i część policzka przecinała jej blizna. Ile mogła mieć lat? Pięćdziesiąt? A na zdjęciach w jakim była wieku? Dwudziestu pięciu lat? Teraz spojrzenie miała takie samo jak wtedy, jasne, wyrażające zdziwienie bądź mglisty niepokój, potrafiące nagle stwardnieć. Przypadkiem spoczęło na mnie, lecz nie widziała mnie. Z kieszeni płaszcza wyjęła puderniczkę, którą otworzyła, przysunęła lusterko do twarzy i małym palcem lewej ręki zaczęła pocierać kącik powieki, jakby usuwała paproch z oka. Metro się rozpędzało, wagonem wstrząsnęło, przytrzymałam się metalowego uchwyty, kobieta natomiast nie straciła równowagi. Stała niewzruszona, przeglądając się w lusterku puderniczki. Na stacji Bastille wszyscy chętni jakoś się pomieścili, drzwi zamknęły się z trudem. Zdążyła schować puderniczkę, zanim pasażerowie zapełnili wagon. Na której stacji wysiądzie? Czy powinnam iść za nią do końca? Czy to naprawdę konieczne? Należało przywyknąć do myśli, że mieszka w tym samym mieście co ja.

Powiedziano mi kiedyś, że umarła dawno temu w Maroku, a ja nigdy nie próbowałam dowiedzieć się więcej. „Umarła w Maroku”, tak brzmiało jedno ze zdań zapamiętanych z dzieciństwa, fraza z tych, których znaczenie człowiek nie w pełni pojmuje. Z tych, których dźwięk jedynie pozostaje wyryty w pamięci jak pewne słowa z piosenek niegdyś budzących we mnie strach. „Miała baba koguta...” „Umarła w Maroku”.

W mojej metryce figuruje jej rok urodzenia: 1917, a na zdjęciach, twierdziła, miała dwadzieścia pięć lat. Ale już wtedy musiała oszukiwać co do swojego wieku i fałszować dokumenty, aby się odmłodzić. Podniosła kołnierz płaszcza, jakby zrobiło jej się zimno w wagonie, w którym przecież człowiek stał przy człowieku. Zauważyłam, że brzeg kołnierza jest kompletnie wytarty. Od kiedy nosi ten płaszcz? Od czasów, gdy zrobiono tamte fotografie? Dlatego właśnie żółty kolor zbladł. Dojedziemy niebawem do końca linii, stamtąd autobus zabierze nas na odległe przedmieście. Wtedy ją zaczepię. Za stacją Gare de Lyon w wagonie było mniej ludzi. Jej spojrzenie znowu spoczywało na mnie, lecz takie spojrzenia podróżni wymieniają machinalnie. „Pamiętasz, że wołano na mnie Perełka? Ty też wtedy przybrałaś fałszywe nazwisko. I nawet fałszywe imię: Sonia”.

Teraz siedziałyśmy naprzeciw siebie na ławkach najbliżej drzwi. „Szukałam cię w książce telefonicznej i nawet zadzwoniłam do czterech czy pięciu osób, które noszą twoje prawdziwe nazwisko, ale nigdy o tobie nie słyzały. Mówiłam sobie, że kiedyś powinnam pojechać do Maroka. Tylko w ten sposób mogłabym sprawdzić, czy na pewno nie żyjesz”.

Od stacji Nation wagon był pusty, ona jednak wciąż siedziała naprzeciwko mnie na ławce, siedziała ze złączonymi dłońmi i przegubami wystającymi spod rękawów zszarzałego płaszcza. Dłonie miała gołe, bez najskromniejszego pierścionka, bez najskromniejszej bransoletki, o skórze spierzchniętej. Na zdjęciach nosiła bransoletki i pierścionki – ciężką

biżuterię, jaka w tamtych czasach była modna. Ale tego dnia nie miała nic. Zamknęła oczy. Jeszcze trzy stacje i koniec linii. Metro zatrzyma się w Château-de-Vincennes, a ja podniosę się jak najostrożniej, zostawiając ją śpiącą na ławce. Wsiądę do innego pociągu, jadącego do Pont-de-Neuilly, tak jak bym zrobiła wcześniej, gdybym w korytarzu nie zauważyła tego złotego płaszcza.

Skład wyhamował na stacji Bérault. Otworzyła oczy, którym wrócił twardy blask. Zerknęła na peron, po czym wstała. Znowu szłam za nią długim tunelem, tyle że teraz byłyśmy same. Zauważyłam wtedy, że na nogach ma trykotowe papucie w formie skarpetek zwane panchos, które akcentują jej krok byłej tancerki.

Szeroka ulica obstawiona budynkami na granicy Vincennes i Saint-Mandé. Robiło się ciemno. Przebyła jezdnię i weszła do budki telefonicznej. Odczekałam kilka zmian świateł i także przeszłam na drugą stronę. Udawałam, że z uwagą oglądam wystawę sklepu położonego najbliżej budki, czyli apteki z wywieszonym od frontu plakatem, który straszył mnie w dzieciństwie: diabła ziejącego ogniem. Obejrzałam się. Numer telefonu wybierała powoli, jakby robiła to pierwszy raz. Potem słuchawkę trzymała oburącz przy uchu. Ale numer nie odpowiadał. Rozłączyła się, z kieszeni płaszcza wydobyła skrawek papieru i nie odrywała wzroku od karteluszką, palcem wykręcając numer na tarczy. Wtedy właśnie zadałam sobie pytanie, czy ona w ogóle ma gdzieś dom.

Tym razem ktoś odebrał. Poruszała ustami za szybą budki. Nadal oburącz trzymała słuchawkę i od czasu do czasu kiwała głową, jakby dla skupienia uwagi. Sądząc po ruchach warg, mówiła coraz głośniej, ale nerwowość w końcu ustępowała. Do kogo dzwoniła? Wśród niewielu rzeczy, które mi po niej zostały, w puszcze po ciastkach znajdował się kalendarzyk i notes z adresami z czasów zdjęć, z czasów, gdy nazywano

mnie Perełką. Kiedy byłam młodsza, nigdy pchnięta ciekawością nie zaglądałam do kalendarzyka i adresownika, od jakiegoś czasu wszakże wertowałam je wieczorami. Nazwiska. Numery telefonów. Wiedziałam, że na próżno by je wykręcać. Nie miałam na to zresztą ochoty.

Nadal rozmawiała w kabinie. Zdawała się tak zaabsorbowana rozmową, że nie zauważyła mnie, gdy podeszłam bliżej. Mogłam nawet udawać, że czekam, aż budka się zwolni, i podsłuchać przez szybę parę słów, które pozwoliłyby mi lepiej pojąć, kim stała się ta kobieta w żółtym płaszczu i panchos. Ale niczego nie usłyszałam. Może dzwoniła do kogoś figurującego w adresowniku, do jedynej osoby, której nie straciła z oczu albo która nie umarła. Często ktoś przez całe życie ci towarzyszy, nie możesz się go pozbyć. Znał cię w chwilach pomyślności, później zaś jest z tobą także w biedzie i wciąż darzy cię takim samym podziwem, jako jedyny udziela ci nadal kredytu zaufania, obdarowuje cię tym, co czasami nazywa się wiarą prostaczków. Łapserdak jak ty. Poczciwy wierny pies. Wieczny kopciuszek. Próbowałam sobie wyobrazić sposób bycia mężczyzny albo kobiety na drugim końcu linii.

Wyszła z budki. Rzuciła mi obojętne spojrzenie, takie samo jak przedtem w metrze, gdy je na mnie zatrzymała. Otworzyłam przeszklone drzwi. Nie wrzuciwszy żetonu do aparatu, wybrałam ot tak, zupełnie przypadkowo, jakiś numer, czekając, żeby odeszła kawałek. Trzymałam słuchawkę przy uchu, chociaż nie było nawet sygnału. Tylko głucha cisza. Nie mogłam się zdecydować na odwieszenie.

Weszła do kawiarni koło apteki. Wahałam się chwilę, nim za nią podążyłam, pomyślałam jednak, że nie zauważy mnie. Kimże myśmy były? Kobietą w nieokreślonym wieku i dziewczyną zagubionymi w tłumie pasażerów metra. W tym tłumie nikt by nie zdołał nas odróżnić. A kiedy

wyszliśmy na wolne powietrze, byliśmy podobne do tysięcy, tysięcy ludzi, którzy wieczorem wracają na swoje przedmieście.

Siedziała przy stoliku w głębi. Puciołowaty blondyn zza kontuaru przyniósł jej kir. Trzeba by sprawdzić, czy przychodzi tutaj co wieczór o tej samej godzinie. Postanowiłam zapamiętać nazwę kawiarni. Calciat przy avenue de Paris numer 96. Nazwa stała wypisana na szybie w drzwiach, łukowato, białymi literami. Jadąc metrem z powrotem, powtarzałam sobie tę nazwę i adres, aby je zapisać, gdy tylko będę mogła. Nie umiera się w Maroku. Żyje się nadal w ukryciu, zakończywszy wcześniejsze życie. Co wieczór wypija się kir w kawiarni Calciat, a inni klienci w końcu przywykają do kobiety w żółtym płaszczu. Nikt jej nigdy nie zadaje pytań.

Usiadłam przy stoliku niedaleko od niej. Ja także zamówiłam kir, tak głośno, by usłyszała, liczyłam bowiem, że dostrzeże w tym oznakę porozumienia. Zachowała jednak obojętność. Głowę miała lekko przechyloną, wzrok zarazem twardy i melancholijny, skrzyżowane ręce położone na stoliku w pozie, jaką przybrała na portrecie. Co się stało z tym obrazem? Był ze mną przez całe dzieciństwo. Wisiał na ścianie mojego pokoju w Fossombronne-la-Forêt. Powiedziano mi: „To portret twojej mamy”. Namalował go w Paryżu człowiek nazwiskiem Tola Sungurow. Nazwisko i nazwa miasta widniały w dole obrazu po lewej. Ręce trzymała na nim skrzyżowane jak teraz, z tą różnicą, że na jednym nadgarstku miała ciężką bransoletę z ogniw. W tym widziałam pretekst, aby nawiązać rozmowę. „Jest pani podobna do kobiety, której portret widziałam w zeszłym tygodniu na bazarze przy porte de Clignancourt. Artysta nazywał się Tola Sungurow”. Ale nie znalazłam w sobie siły, aby się podnieść i nachylić ku niej. Zakładając, że zdołałabym bezbłędnie wygłosić zdanie: „Artysta nazywał się Tola Sungurow, a pani Sonia, z tym że to było fałszywe imię; prawdziwe, to, które widnieje w mojej metryce urodzenia,

brzmiało Suzanne”. No tak, gdybym nawet wygłosiła to zdanie, mówiąc bardzo szybko, co by mi to dało? Ona by udała, że nie rozumie, albo słowa cisnęłyby się jej na usta, wychodziłyby bezładnie, ponieważ od dawna z nikim nie rozmawiała. Kłamałaby jednak, zacierałaby ślady, tak jak robiła w epoce obrazu i fotografii, oszukując w kwestii swojego wieku i przybierając fałszywe imię. I fałszywe nazwisko. A nawet fałszywy tytuł szlachecki. Dawała do zrozumienia, że urodziła się w arystokratycznej irlandzkiej rodzinie. Przypuszczam, że jakiś Irlandczyk stanął kiedyś na jej drodze, inaczej nie wpadłaby na taki pomysł. Irlandczyk. Może mój ojciec – którego bardzo trudno by odszukać, a ona go na pewno zapomniała. Bez wątplenia całą resztę także zapomniała, toteż byłaby zaskoczona, że mówię jej o tym. Chodzi o kogo innego, nie o nią. Kłamstwa z czasem się rozwiąły. Ale wtedy byłam pewna, że w nie wierzyła, że wierzyła we wszystkie te kłamstwa.

Pucołowaty blondyn przyniósł jej drugi kir. Przy kontuarze było teraz dużo ludzi. Siedzieli też przy wszystkich stolikach. Nie słyszałybyśmy się w tym gwarze. Odnosiłam wrażenie, że wciąż jestem w wagonie metra. A raczej w poczekalni dworcowej, nie wiedząc, do którego właściwie pociągu powinnam wsiąść. Dla niej wszakże nie było już pociągu. Zwlekała z powrotem do domu. Z pewnością nie miała daleko. Naprawdę mnie ciekawiło, gdzie mieszka. Ani trochę nie miałam ochoty na rozmowę z nią, nie odczuwałam wobec niej nic szczególnego. Okoliczności sprawiły, że między nami nigdy nie było tego, co nazywa się mlekiem dobroci. Pragnęłam się jedynie dowiedzieć, gdzie wylądowała dwanaście lat po swojej śmierci w Maroku.

Była to uliczka w pobliżu zamku czy fortu. Nie bardzo wiem, jaka jest różnica między jednym a drugim. Po obu stronach stały niskie domy, warsztaty, a nawet stajnie. Nazywała się zresztą rue du Quartier-de-Cavalerie, ulica Koszar Kawaleryjskich. W połowie jej długości przy chodniku odcinała się bryła dużej budowli z ciemnej cegły. Było już ciemno, kiedy znalazłyśmy się na tej uliczce. Szłam jeszcze kilka metrów za nią, lecz powoli zmniejszałam dystans między nami. Byłam pewna, że nawet gdybym się z nią zrównała, nie zauważyłaby mojej obecności. Wróciłam później za dnia na tę uliczkę. Mija się ceglany budynek i za nim wychodzi się na pusty teren. Niebo było bezchmurne. A doszedłszy do końca uliczki, zauważyła się, że doprowadza do czegoś w rodzaju nieużytku, który ciągnie się wzdłuż rozleglejszego obszaru. Tabliczka informowała: „Teren manewrów”. Za nim zaczynał się lasek Vincennes. Po ciemku uliczka przypominała każdą inną podmiejską uliczkę: w Asnières, Issy-les-Moulineaux, Levallois... Szła powoli tym swoim krokiem byłej tancerki. Pewno nie było to łatwe w panchos.

Budynek ciemną bryłą przytłaczał wszystkie inne. Nasuwało się pytanie, dlaczego wzniesiono go przy tej uliczce. Na dole mieścił się sklep spożywczy, akurat zamykany. Pogaszono już neonówki, tylko przy kasie paliło się światło. Widziałam ją przez szybę, jak bierze z półki w głębi konserwę, potem drugą. I coś w czarnym opakowaniu. Kawę? Kawę z cykorii? Tuliła konserwy i pudełko do płaszcza, lecz znalazłszy się przy kasie, wykonała niezręczny ruch. Puszki i czarne opakowanie wypadły jej z rąk. Człowiek przy kasie je pozbierał. Uśmiechał się do niej. Usta obojga się poruszały, a ja chętnie bym się dowiedziała, jak kasjer się do niej

zwraca. Czy używa jej prawdziwego nazwiska panińskiego? Wyszła, tuląc nadal do płaszcza puszki i pudełko, trzymała je poniekąd jak niemowlę. O mało nie zaproponowałam jej pomocy, lecz rue du Quartier-de-Cavalerie naraz wydała mi się bardzo oddalona od Paryża, zagubiona gdzieś na głębokiej prowincji, w mieście garnizonowym. Niebawem wszystko zostanie pozamykane, miasto opustoszeje, a ja nie złapię ostatniego pociągu.

Przeszła przez bramę. Ledwie z daleka zobaczyłam bryłę z ciemnej cegły, przeczułam, że właśnie tam mieszka. Szła przez podwórze, w którego głębi wznosiło się kilka bloków podobnych do tego przy ulicy. Zwalniała coraz bardziej, jakby się bała, że upuści zakupy. Patrząc na nią z tyłu, można by powiedzieć, że dźwiga ciężar ponad swoje siły i lada chwila się przewróci.

Weszła do jednego z budynków w głębi, nieco po lewej. Każde wejście opatrzone było napisem: Klatka A, Klatka B, Klatka C, Klatka D. Jej klatka była A. Zostałam chwilę na dole, czekając, aż zapali się światło w którymś oknie. Czekanie nic nie dało. Zastanawiałam się, czy ma tam windę. Wyobrażałam ją sobie, jak idzie po schodach klatki A, tuląc do siebie konserwy. Potem nie odstępowała mnie ta myśl, nawet w metrze, gdy wracałam.



W następnych dniach odbywałam tę samą wycieczkę. Punktualnie o godzinie, o której spotkałam ją za pierwszym razem, czekałam na ławce na stacji Châtelet. Wypatrywałam żółtego płaszcz. Po odjeździe pociągu bramka się otwiera, fala pasażerów rozlewa się na peronie. Stłoczą się w wagonach następnego składu. Peron pustoszeje, zapełnia się znowu i uwaga w końcu słabnie. Bezustanny ruch ludzi działa na ciebie oziębiająco, przestajesz dostrzegać szczegóły, nie widzisz nawet żółtego płaszcz. Jakieś dźgnięcie w środku każe ci wsiąść do wagonu. Pamiętam, że w tamtym czasie na każdej stacji przed oczami przesuwały się takie same plakaty. Para z trojgiem jasnowłosych dzieci przy stole wieczorową porą w górskiej chatce. Ich twarze oświetlała lampa. Na zewnątrz sypał śnieg. Pewnie chodziło o Boże Narodzenie. U góry plakatu widniał napis: CZEKOLADA PUPIER DLA CAŁEJ RODZINY.

W pierwszym tygodniu tylko raz pojechałam do Vincennes. W następnym dwa razy. Potem jeszcze dwukrotnie. W kawiarni około siódmej wieczorem było za dużo ludzi, żeby mnie zauważono. Za drugą bytnością odważyłam się spytać puciołowatego blondyna, który obsługiwał gości, czy pani w żółtym płaszczu przyjdzie tego dnia. Zmarszczył brwi, wyraźnie nie rozumiejąc. Wzywano go do sąsiedniego stolika. Myślę, że nie usłyszał mnie. Ale i tak nie miałby czasu odpowiedzieć. Dla niego też była to pora szczytu. A ona może wcale nie bywała w tej kawiarni. Może nie była z tej dzielnicy. Z budki dzwoniła do kogoś, kto mieszkał w ceglanym bloku, i tamtego wieczoru złożyła mu wizytę. Przyniosła temu komuś konserwy. Później wsiadła do metra jadącego w kierunku, w którym ja także pojechałam, i wróciła do domu, a ja nigdy się nie dowiem, pod

jakim mieszka adresem. Jedynym punktem zaczepienia była dla mnie klatka A. Tyle że musiałabym pukać do wszystkich drzwi na każdym piętrze i tego, kto zechciałby mi otworzyć, pytać, czy zna kobietę pod pięćdziesiątkę w żółtym płaszczu i ze szramą na twarzy. Tak, w zeszłym tygodniu przyszła tu jednego wieczoru, kupiwszy w sklepie przy ulicy kilka konserw i paczkę kawy. Co mogłabym usłyszeć w odpowiedzi? Wymyśliłam wszystko.

A jednak w piątym tygodniu w końcu się pojawiła. Wychodząc z podziemi metra, zobaczyłam ją w budce telefonicznej. Była w żółtym płaszczu. Zastanowiłam się, czy ona także wyszła właśnie ze stacji. Znaczyłoby to, że w jej życiu istnieją stałe trasy i pory... Z trudem potrafiłam sobie wyobrazić, że codziennie bywa w pracy jak wszyscy ci, którzy jeżdżą metrem o tej porze. Stacja Châtelet. Zbyt nieokreślone, aby coś wywnioskować. Dziesiątki tysięcy ludzi ściągają na stację Châtelet około szóstej wieczorem, po czym rozjeżdżają się na cztery świata strony różnymi liniami. Ich ślady dokumentnie się mieszają i płaczą. W tej rzeszy są jednak pewne punkty stałe. Nie powinnam była poprzestać na przesiadywaniu na jednej ławce. Należało czyhać w miejscach, gdzie są kasy i sprzedawcy gazet, w szerokim tunelu z ruchomym chodnikiem, a także w innych korytarzach. Tam przez cały dzień są ludzie, lecz zauważa się ich dopiero po okresie adaptacji. Bezdomni. Wędrowni grajkowie. Kieszonkowcy. Zbłąkani, którzy już nigdy nie wyjdą na powierzchnię. Być może ona także za dnia nie opuszczała stacji Châtelet. Obserwowałam ją w budce telefonicznej. Wydawało się, że tak jak za pierwszym razem nie od razu uzyskała połączenie. Znowu wybierała numer. Mówiła, lecz trwało to o wiele krócej niż tamtego wieczoru. Szybko odwiesiła słuchawkę. Wyszła z budki. Nie wstąpiła do kawiarni. Szła avenue de Paris tym swoim krokiem dawnej tancerki. Dojechałyśmy do Château-de-Vincennes.

Dlaczego nie wysiadła na tej stacji, końcowym przystanku linii? Z powodu budki telefonicznej i kawiarni, do której zwykła zachodzić na kir przed powrotem do domu? A w inne wieczory, kiedy jej nie spotkałam? Na pewno wtedy wysiadała na stacji Château-de-Vincennes. Musiałam ją zagadnąć, w przeciwnym razie zorientuje się w końcu, że ktoś za nią chodzi. Próbowałam wymyślić jakieś zdanie, możliwie krótkie. Powiem jej: „Nazywałaś mnie Perełką. Na pewno to pamiętasz...”. Dochodziłyśmy do bloku, lecz tak samo jak za pierwszym razem nie znalazłam w sobie siły, aby ją zaczepić. Przeciwnie, pozwoliłam, żeby mnie znacznie wyprzedziła, czułam, jak nogi mi ciężą niczym ołowiane. Ale też ogarniało mnie coś na kształt ulgi, w miarę jak się oddalała. Tego wieczoru nie wstąpiła do sklepu po konserwy. Szła przez podwórze do bloku, a ja zostałam za bramą. Podwórze oświetlała tylko jedna latarnia nad wejściem do klatki A. W jej blasku płaszcz odzyskał żółty kolor. Lekko przygarbiona zmierzała do klatki A zmęczonym krokiem. Przypomniał mi się tytuł ilustrowanej książeczki, którą czytałam w czasach, gdy nazywałam się Perełka: *Stary koń cyrkowy*.

Kiedy zniknęła, weszłam za bramę. Po lewej na przeszkłonych drzwiach wisiała tablica – spis nazwisk w porządku alfabetycznym, przy każdym litera oznaczająca klatkę. Za szybą paliło się światło. Zapukałam. W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa krótko ostrzyżonej brunetki, dość młodej. Powiedziałam, że szukam jednej pani, która tu mieszka. Samotnie. Nosi żółty płaszcz.

Zamiast zatrasnąć mi drzwi przed nosem, kobieta zmarszczyła brwi, jakby próbowała sobie przypomnieć nazwisko.

– To pewnie pani Boré. Klatka A... Nie pamiętam piętra.

Powiodła palcem po spisie mieszkańców. Wskazała nazwisko. Boré. Klatka A. Czwarte piętro. Ruszyłam przez podwórze. Kiedy usłyszałam, że

drzwi stróżówki się zamykają, zawróciłam i wymknęłam się na ulicę.

\*

Wracając tego wieczoru metrem, byłam pewna, że nie zapomnę nazwiska. Boré. Tak, przypominało nazwisko człowieka będącego – jak ongiś zrozumiałam – bratem mojej matki, niejakiego Jeana Boranda. We czwartki zabierał mnie do swojego warsztatu. Czy była to zwykła zbieżność? Bo przecież rodowe nazwisko matki, które figurowało w mojej metryce, brzmiało Cardères. Natomiast O’Dauyé było jej przybranym nazwiskiem, niejako pseudonimem artystycznym. Z czasów, gdy sama o sobie mówiłam Perełka... W domu znów obejrzałam zdjęcia, otworzyłam kalendarzyk i notes z adresami, które spoczywały w puszcze po ciastkach, i w połowie kalendarzyka natrafiłam na kartkę wyrwaną z zeszytu szkolnego – jakże mi znajomą. Skreślone niebieskim atramentem drobne litery nie były pismem mojej matki. U góry kartki stało: SONIA CARDÈRES. Pod nazwiskiem kreska. I poniżej kilka linijek wychodzących na margines:

*Nieudana randka. Nieszczęśliwa we wrześniu. Sprzeczka z blondynką. Skłonność do niebezpiecznie prostych rozwiązań. Zguba nigdy się nie odnajdzie. Zakochanie w nie-Francuzie. Zmiana w nadchodzących miesiącach. Uwaga na koniec lipca. Wizyta nieznanego. Zagrożenia brak, mimo to ostrożnie. Podróż zakończy się dobrze.*

Kazała sobie powróżyć z kart albo poszła do chiromantki. Przypuszczam, że nie była pewna przyszłości. Skłonność do niebezpiecznie prostych rozwiązań. Wystraszyła się nagle jak w wesołym miasteczku na kolejce górskiej. Za późno, aby wysiąść. Urządzenie się rozpędza i po chwili człowiek się zastanawia, czy wagonik nie wypadnie z szyn. Czują, że źle się będzie działo. Nieszczęśliwa we wrześniu. Z pewnością tamtego lata,

kiedy nagle znalazłam się sama na wsi. Pociąg był przepełniony. Na szyi miałam zawieszoną kartkę z wypisanym adresem. Zguba nigdy się nie odnajdzie. Nieco później na tej wsi dostałam pocztówkę. Leży na dnie puszek po ciastkach. Z Casablanki. Przedstawia place de France. „Ściskam Cię mocno”. Bez podpisu. Duże litery, takie same jak w kalendarzyku i adresowniku. Niegdyś dziewczynki w wieku mojej matki uczono pisać dużymi literami. Zakochanie w nie-Francuzie. W którym? W notesie było kilka niefrancuskich nazwisk. Uwaga na koniec lipca. W lipcu właśnie wyprawiono mnie na wieś do Fossombronne-la-Forêt. Na ścianie w moim pokoju powieszono obraz Toli Sungurowa, tak że każdego ranka po przebudzeniu widziałam oczy mamy wpatrzone we mnie. Po tamtej pocztówce już nie otrzymałam od niej żadnego znaku. Zostało mi jedynie to spojrzenie poranne, a także wieczorne, kiedy w łóżku czytałam albo kiedy byłam chora. Po chwili uświadamiałam sobie, że tak naprawdę nie patrzy na mnie, lecz wzrok ma zagubiony gdzieś w dali.

Zagrozenia brak, mimo to ostrożnie. Podróż zakończy się dobrze. Słowa, które człowiek sobie powtarza w ciemności dla uspokojenia. W dniu, kiedy poszła do wróżki, z pewnością już wiedziała, że wyjedzie do Maroka. A wróżka i tak zobaczyła to w kartach albo wyczytała z linii ręki. Podróż. Wyruszyła w nią później niż ja, ponieważ odprowadziła mnie na dworzec Austerlitz. Pamiętam, jak jechałyśmy autem wzdłuż Sekwany. Dworzec znajdował się niedaleko jej brzegu. Po latach zauważyłam, że wystarczy, abym się znalazła w okolicy dworca Austerlitz, a ogarnia mnie dziwne uczucie. Naraz robiło się chłodniej i ciemniej.

Nie miałam pojęcia, gdzie podział się obraz. Czy został w moim dawnym pokoju w Fossombronne-la-Forêt? A może po takim czasie wylądował na jakimś bazarze na obrzeżach Paryża? W notesie zapisała adres człowieka, który go namalował, Toli Sungurowa. Najpierw nazwisko

pod literą S. Kolor atramentu różnił się od reszty, pismo było drobniejsze, jakby się bardzo starała. Przypuszczałam, że Tola Sungurow był jednym z pierwszych jej znajomych w Paryżu. Przyjechała do stolicy jako dziecko, wysiadła na dworcu Austerlitz, tego byłam prawie pewna. Podróż zakończy się dobrze. Sądzę, że wróżka się pomyliła, choć może skrywała część prawdy, aby nie doprowadzać do rozpaczki klientów. Chciałabym wiedzieć, w co była ubrana moja matka tamtego dnia na dworcu Austerlitz, gdy przybyła do Paryża. Nie w żółty płaszcz. Żałowałam również, że zginęła mi tamta ilustrowana książeczka zatytułowana *Stary koń cyrkowy*. Podarowano mi ją na wsi, w Fossombronne-la-Forêt. Chociaż nie... Chyba miałam ją już w paryskim mieszkaniu. Obraz też zresztą wisiał w jednym z pokoi tego mieszkania, w wielkim pomieszczeniu z trzema stopniami nakrytymi białym pluszem. Na okładce książeczki widniał czarny koń. Okrążał arenę – jak się wydawało, po raz ostatni – ze zwieszonym łbem, wyraźnie zmęczony, jakby każdy krok groził mu upadkiem. Tak, kiedy patrzyłam na nią idącą przez podwórze, przed oczami stanął mi nagle obraz czarnego konia. Okrążał arenę i naprawdę się zdawało, że uprzęż bardzo mu ciąży. Była tego samego koloru co płaszcz. Żółta.

Tamtego wieczoru, gdy wydało mi się, że w metrze ujrzałam swoją matkę, znałam już od jakiegoś czasu człowieka nazwiskiem Moreau albo Badmajew. Spotkałam go w księgarni Mattei przy bulwarze Clichy. Zamykano ją bardzo późno. Szukałam jakiegoś kryminału. O północy jedynymi klientami byliśmy my dwoje i doradził mi tytuł z Série Noire. Rozmawialiśmy potem, idąc deptakiem. Chwilami mówił z dziwną intonacją, która nasuwała myśl, że jest cudzoziemcem. Później wyjaśnił mi, że to nazwisko, Badmajew, jest po ojcu, którego ledwie znał. Rosjaninie. Ale jego matka była Francuzką. Na karteluszkę, na którym zanotował mi swój adres tamtego pierwszego dnia, stało: Moreau-Badmajew.

Gadaliśmy o wszystkim i o niczym. Tamtej nocy niewiele mi powiedział o sobie, tylko że mieszka w okolicy porte d'Orléans i że na bulwarze Clichy znalazł się przypadkiem. Szczęśliwym przypadkiem, ponieważ poznał mnie. Chciał wiedzieć, czy lubię czytać książki inne niż kryminały. Odprowadziłam go do metra Pigalle. Zapytał, czy jeszcze się zobaczymy. I z uśmiechem rzekł:

– Wtedy byśmy spróbowali osiągnąć jasność.

Ogromnie uderzyło mnie to zdanie. Jakby czytał w moich myślach. Tak. Znalazłam się w takim punkcie życia, gdy pragnęłam osiągnąć jasność.

Wszystko wydawało mi się takie niejasne od samego początku, od najdawniejszych wspomnień z dzieciństwa... Nachodziły mnie czasem około piątej nad ranem, w porze zdradliwej, gdy nie możesz ponownie zasnąć. Czekałam wtedy z wyjściem z domu, aby mieć pewność, że pierwsze kawiarnie już będą otwarte. Dobrze wiedziałam, że ledwie stanę na zewnątrz, wspomnienia owe opadną ze mnie jak strzępy przykrych snów.

I to o każdej porze roku. W zimowe poranki, gdy jeszcze jest ciemno, panuje ziąb, palą się latarnie, a pierwsi klienci zgromadzeni przy kontuarze niczym spiskowcy dają ci złudzenie, że nadchodzący dzień będzie nową przygodą. I to złudzenie trwa w tobie przez część przedpołudnia. Latem, kiedy zapowiadał się skwarny dzień i ruch jeszcze panował niewielki, siadałam w ogródku pierwszej otwartej kawiarni i mówiłam sobie, że wystarczy pójść w dół rue Blanche, by dotrzeć do plaży. W te poranki również rozpraszały się wszelkie przykre wspomnienia.

Ów Moreau-Badmajew umówił się ze mną w okolicy porte d'Orléans w kawiarni Le Corentin. Przyszłam pierwsza. Było już ciemno. Siódma wieczorem. Powiedział, że wcześniej nie może być, ponieważ pracuje w biurze. Zobaczyłam wchodzącego człowieka w wieku około dwudziestu pięciu lat, wysokiego bruneta w skórzanej kurtce. Zaraz mnie zauważył i usiadł naprzeciwko. Dotąd się bałam, że nie rozpozna mnie. Nigdy się nie dowie, że nazywałam się Perełka. Kto jeszcze o tym wiedział oprócz mnie? A moja matka? Być może w najbliższych dniach będę musiała mu o tym powiedzieć. Żeby spróbować osiągnąć jasność.

Uśmiechnął się do mnie. Wyznał, że bał się, iż nie zdąży na spotkanie. Tego dnia zatrzymano go dłużej niż zwykle. Poza tym godziny pracy zmieniały mu się co tydzień. Teraz miał dzienną zmianę, lecz w następnym tygodniu będzie pracował od dziesiątej wieczorem do siódmej rano. Spytałam, na czym polega jego praca. Słuchał audycji radiowych w obcych językach, tłumaczył je i streszczał. I nie za dobrze zrozumiałam, czy robi to dla instytucji podlegającej agencji prasowej czy jakiemuś ministerstwu. Zatrudniono go, ponieważ znał około dwudziestu języków. Byłam pod wrażeniem – ja mówiłam tylko po francusku. Powiedział jednak, że to wcale nie takie trudne. Jeśli się człowiek nauczy dwóch, trzech języków, potem wystarczy iść za ciosem. Każdego na to stać. A czym ja się zajmuję?



Cóż, chwilowo zarabiam na życie dorywczo na pół etatu, liczę jednak, że znajdę stałą pracę. Ogromnie jej potrzebuję – szczególnie dla własnego ducha.

Nachylił się do mnie i zniżył głos:

– Dlaczego? Nie ma pani ducha?

Nie uraziło mnie jego pytanie. Ledwie go znałam, ale darzyłam zaufaniem.

– Czego właściwie szuka pani w życiu?

Zdawał się przepraszać za to niejasne pretensjonalne pytanie. Wpatrywał się we mnie jasnymi oczyma i zauważyłam, że ich błękit jest niemal szary. Miał również piękne dłonie.

– Czego szukam w życiu...

Zbierałam się w sobie, naprawdę musiałam jakoś odpowiedzieć. Facet taki jak on, mówiący w dwudziestu językach, nie zrozumiałby, gdybym nic nie powiedziała.

– Szukam... kontaktu z ludźmi...

Nie wyglądał na rozczarowanego moją odpowiedzią. Znowu tym swoim jasnym wzrokiem objął mnie i sprawił, że spuściłam oczy. Płasko na stole trzymał piękne dłonie, których długie szczupłe palce wyobrażałam sobie biegające po klawiszach fortepianu. Byłam taka wrażliwa na spojrzenia i na dłonie... Powiedział:

– Użyła pani przed chwilą słowa, które mnie uderzyło... słowa „stała”...

Nie pamiętałam tego. Połechtало mnie jednak, że przywiązuje wagę do tych kilku wygłoszonych przeze mnie słów. Słów tak banalnych.

– Problemem jest znalezienie punktu stałego...

W tej chwili mimo spokoju i łagodnego głosu wydał mi się równie wystraszony jak ja. Spytał zresztą, czy ja także doświadczam niemiłego

uczucia unoszenia się, jakby niesienia prądem, gdy niczego nie można się uchwycić.

Tak, mniej więcej czegoś takiego doznawałam. Dzień płynął za dniem, jednego od drugiego nic nie odróżniało, przesuwały się równo niczym ruchomy chodnik na stacji Châtelet. Byłam niesiona tunelem bez końca i nie musiałam nawet stawiać kroków. Mimo to rychło pewnego wieczoru zauważę naraz żółty płaszcz. W całym tłumie obcych ludzi, w który się ostatecznie wtopiłam, wyraźnie odetnie się jeden kolor i nie wolno mi będzie stracić go z oczu, jeśli chcę się czegoś więcej dowiedzieć o sobie.

– Trzeba znaleźć stały punkt, by życie przestało być takim ciągłym unoszeniem się... – Uśmiechał się, jakby pragnął złagodzić powagę swoich słów. – Kiedy już znajdziemy ten stały punkt, wszystko pójdzie lepiej, nie sądzi pani?

Wyczułam, że usiłuje sobie przypomnieć moje imię. Znowu zapragnęłam mu się przedstawić, mówiąc: „Wołano na mnie Perełka”. Wytłumaczyłabym mu wszystko od początku. Ale powiedziałam po prostu:

– Na imię mam Thérèse.

Tamtej nocy na deptaku spytałam, jak mu na imię, a on odparł: „Bez imion. Proszę mówić mi po prostu Badmajew. Albo Moreau, jeśli pani woli”. Zdziwiło mnie to, lecz później pomyślałam, że w ten sposób pragnął się chronić i zachować dystans. Nie chciał wchodzić z ludźmi w zbyt dużą komitywę. Może coś ukrywał.

Zaproponował, żebyśmy poszli do niego. Pożyczy mi książkę. Mieszkał na osiedlu na wprost kawiarni Le Corentin, po drugiej stronie bulwaru Jourdana. W ceglanym bloku, takim jak w Vincennes, gdzie zobaczę swoją matkę idącą przez podwórze. Mijaliśmy budynki o takich samych fasadach. Pod numerem 11 przy rue Monticelli wspięliśmy się po schodach na czwarte piętro. Drzwi otworzyły się na przedpokój wyłożony

ciemnoczerwonym linoleum. Na końcu przedpokoju weszliśmy do sypialni. Materac położony wprost na podłodze, pod ścianami stosy książek. Poprosił, abym usiadła na jedynym krześle pod oknem.

– Nim zapomnę... Muszę pani dać tę książkę...

Nachylił się nad stertami tomów i przepatrywał je kolejno. Wreszcie wyciągnął książkę, która wyróżniała się wśród innych czerwoną okładką. Podał mi ją. Zajrzałam na stronę tytułową: *Apoteoza nieoczywistości*.

Minę miał przepraszającą. Dodał:

– Jeśli panią znudzi, nie musi pani czytać.

Usiadł na brzegu materaca. Pokój oświetlała tylko goła żarówka na wysokim trójnogu. Była nieduża i o niewielkiej mocy. Koło łóżka zamiast stolika nocnego znajdował się wielki odbiornik radiowy z frontem obciągniętym tkaniną. Podobne widziałam w Fossombronne-la-Forêt. Zauważył moje spojrzenie.

– Lubię ten odbiornik – powiedział. – Używam go czasem do pracy. Kiedy mogę ją wykonywać w domu.

Pochylił się i przekręcił gałkę. Zapłonęło zielone światełko.

Rozległ się głuchy głos mówiący w obcym języku.

– Chce pani wiedzieć, jak pracuję?

Wziął blok papieru listowego i długopis, które leżały na radioodbiorniku, i wsłuchany w głos zaczął pisać.

– To bardzo łatwe... Stenografuję.

Podszedł i podał mi kartkę. Od tamtego wieczoru zawsze ją noszę przy sobie.

Poniżej znaków stenograficznych było napisane:

*Niet lang geleden slaagden matrozen er in de sirenen, enkele mijlen zuidelijk van de azoren, te vangen.*

I tłumaczenie: „Niedługo potem marynarze zdołali schwytać syreny kilka mil na południe od Azorów”.

– To po niderlandzku. Ale czytał z lekkim akcentem flamandzkim z Antwerpii.

Przekręcił gałkę, aby ściszyć głos. Zielone światełko pozostało zapalone. I proszę, na tym polegała jego praca. Dawano mu listę audycji do wysłuchania, czy to za dnia, czy w nocy, i na następny dzień musiał je przetłumaczyć.

– Czasami audycje są z bardzo daleka... spikerzy mówią w dziwnych językach.

Słuchał ich nocami w sypialni dla treningu. Wyobrażałam go sobie wyciągniętego na łóżku w ciemnościach rozjaśnianych jedynie przez to zielone światełko.

Na powrót usiadł na skraju łóżka. Powiedział, że odkąd zajmuje to mieszkanie, prawie w ogóle nie korzysta z kuchni. Ma jeszcze drugi pokój, lecz nie urządził go i nigdy do niego nie wchodzi. Zresztą przez to, że słucha tych różnych zagranicznych stacji, czasem nie bardzo wie, w jakim kraju przebywa.

Okno wychodziło na podwórze i frontowe ściany bloków, w których inne okna na każdym piętrze były oświetlone. Jakiś czas później, kiedy po raz pierwszy szłam za swoją matką aż do jej mieszkania, byłam przekonana, że z jej sypialni widok jest taki sam jak u Moreau-Badmajewa. Zajrzałam do książki telefonicznej w nadziei, że znajdę jej nazwisko, i zdziwiło mnie, jak wiele osób mieszka w tym bloku. Pięćdziesiąt, wśród nich dziesięć samotnych kobiet. Ale nie było jej nazwiska panińskiego ani przybranego, którego ongiś używała. Konsjerżka jeszcze wtedy mi nie powiedziała, że nazywa się Boré. Później zaś znowu musiałam wertować książkę telefoniczną według ulic, zgubiłam bowiem numer telefonu

Moreau-Badmajewa. Pod jego adresem widniało równie dużo nazwisk co pod adresem mojej matki. Tak, bloki w Vincennes i przy porte d'Orléans były prawie takie same. Jego nazwisko: Moreau-Badmajew, znajdowało się w wykazie. Było dowodem, że to mi się nie przyśniło.

Kiedy tamtego wieczoru patrzyłam za okno, powiedział, że widok jest „dość smutny”. W pierwszym okresie odnosił wrażenie, że się tutaj dusi. Dochodziły do niego wszelkie hałasy z sąsiednich mieszkań, i z piętra, i z góry, i z dołu. Ciągły harmider, jak w więzieniu. Zdawało mu się, że jest zamknięty w celi otoczonej setkami, tysiącami innych cel zajętych przez rodziny albo osoby samotne jak on. Wrócił wtedy z długiego pobytu w Iranie, gdzie odwykł od Paryża i w ogóle wielkich miast. Przebywał tam, próbując się nauczyć kolejnego języka, „perskiego z łąk”.

Żaden profesor tego nie uczył, nawet w Szkole Języków Wschodnich. Należało zatem udać się na miejsce. Pojechał tam ubiegłego roku. Powrót do Paryża, na osiedle przy porte d'Orléans, był trudny, teraz wszakże hałasy innych lokatorów już mu wcale nie wadziły. Wystarczyło, że włączył radiodbiornik i powoli przekręcił gałkę, a zaraz był gdzieś bardzo daleko. Nie potrzebował już nawet podróżować. Wystarczyło, że zapalił się zielone światełko.

– Jeśli pani chce, mógłbym panią nauczyć perskiego z łąk...

Powiedział tak żartem, lecz zdanie to echem odbiło mi się w głowie z powodu jednego słowa: łąk. Pomyślałam, że niebawem opuszczę to miasto i że nie ma żadnego istotnego powodu, abym się czuła więźniem czegokolwiek. Otwierały się przede mną wszystkie horyzonty, łąki jak okiem sięgnąć opadające ku morzu. Po raz ostatni chciałam poskładać parę nędznych wspomnień, odnaleźć ślady swojego dzieciństwa niczym wędrowiec, który do samego końca będzie trzymał w kieszeni stary, dawno nieważny dowód osobisty. Przed odejściem nie było wiele do składania.

Była dziewiąta wieczorem. Powiedziałam mu, że muszę wracać do domu. Następnym razem zaprosi mnie na obiad, jeśli pozwolę. I udzieli mi lekcji perskiego z łąk.

Odprowadził mnie aż do stacji metra. Nie poznawałam okolic porte d'Orléans, gdzie przecież aż do szesnastego roku życia przyjeżdżałam, ilekroć zjawiałam się w Paryżu. Wtedy autobus, do którego wsiadałam w Fossombronne-la-Forêt, zatrzymywał się przed kawiarnią La Rotonde.

Opowiadał mi jeszcze o perskim z łąk. Ten język, mówił, przypomina fiński. Jest równie przyjemny dla ucha. Słysząc w nim pieszczotę wiatru w trawach i szmer wodospadów.

**W** pierwszym okresie czułam dziwny zapach na schodach. Pochodził od czerwonej wykładziny. Pewnie powoli gnęła. Tu i ówdzie widać już było drewno stopni. Tyle ludzi wchodziło po nich i schodziło w czasach, gdy budynek był hotelem... Schody były strome i zaczynały się zaraz za wejściem do klatki. Wiedziałam, że moja matka ongiś mieszkała w tym hotelu. Jego adres widniał w mojej metryce urodzenia. Przeglądałam kiedyś ogłoszenia drobne w poszukiwaniu pokoju do wynajęcia i zdziwiłam się, natrafiwszy na ten adres w rubryce „Kawalerki wynajem”.

Zjawiłam się o umówionej godzinie. Mężczyzna około pięćdziesiątki, o rumianej cerze, czekał na chodniku. Pokazał mi na pierwszym piętrze pokój z malutką łazienką. Zażądał czynszu za trzy miesiące z góry „w gotowiźnie”. Szczęśliwie dysponowałam taką mniej więcej kwotą. Zaprowadził mnie do kawiarni na rogu bulwaru Clichy, aby wypełnić i podpisać dokumenty. Wyjaśnił, że hotel zamknięto, a pokoje stały się „kawalerkami”.

– Moja matka mieszkała w tym hotelu.

Usłyszałam swój głos wypowiadający te słowa i zdumiałam się. Co mnie ugryzło? Odparł z roztargnieniem: „Tak? Matka?”. Był w takim wieku, że mógł ją znać. Zapytałam, czy wcześniej także zajmował się hotelem. Nie. Kupił go ze współnikami przed rokiem, przeprowadzili różne przeróbki.

– Wie pani – powiedział – jako hotel to nie była żadna rewelacja.

I już pierwszego dnia pomyślałam, że moja matka być może mieszkała w pokoju, w którym się znajdowałam. A zatem tamtego wieczoru, gdy szukałam pokoju do wynajęcia i natrafiłam w gazecie na ten adres, rue

Coustou 11, otworzyła mi się jakaś zapadka. Już od jakiegoś czasu zerkałam do starej puszki po ciastkach, kartkowałam kalendarzyk i adresownik, oglądałam zdjęcia... Wcześniej, muszę przyznać, nigdy do puszki nie zajrzałam, a jeśli nawet to zrobiłam, nie miałam ochoty oglądać rzeczy, które były dla mnie tylko starymi szpargałami. Byłam do tej puszki przyzwyczajona od dzieciństwa, szła za mną jak obraz Toli Sungurowa, zawsze stanowiła część wystroju. Trzymałam w niej nawet parę sztuk tandetnej biżuterii. Na przedmioty, które ci długo towarzyszą, nie zwracasz już uwagi. A jeśli tak się złoży, że je stracisz, zauważasz, że umknęły ci pewne ich szczegóły. Na przykład nie pamiętałam, jaka była rama obrazu Sungurowa. A gdybym straciła puszkę po ciastkach, zapomniałabym, że na pokrywce przyklejona była naderwana etykieta, na której dawało się odczytać: LEFÈVRE-UTILE. Należy się wystrzegać tych, których nazywa się świadkami.

Wróciłam do punktu wyjścia, ponieważ ten adres wpisano w moim akcie urodzenia jako adres zamieszkania matki. I niewątpliwie ja również pod nim mieszkałam w pierwszym okresie życia. Kiedy pewnego wieczoru Moreau-Badmajew odprowadzał mnie do domu, opowiedziałam mu o tym, a on rzekł:

– Czyli odnalazła pani swój dawny dom rodzinny.

I obydwójce wybuchnęliśmy śmiechem. Brama jest opleciona wiciokrzewem, tak długo była zamknięta, że od wewnątrz zarosły trawy i można ją tylko uchylić lekko, by precyzyjnie się między dwójgim skrzydeł. W głębi błonia oświetlony księżycowym blaskiem stoi zamek naszego dzieciństwa. A tam, po lewej, cedr rośnie, gdzie rósł. Wchodzimy teraz do zamku. Ze świecznikiem w ręce mijamy salon błękitny i galerię, w której rzędem wiszą portrety przodków. Nic się nie zmieniło, wszystko pozostało na tym samym miejscu pod warstwą kurzu. Wstępujemy na



główne schody. W końcu korytarza nareszcie docieramy do pokoju dziecięcego. Tak właśnie dla zabawy Moreau-Badmajew opisywał powrót do siedziby rodowej, który byłby moim udziałem w innym życiu. Ale okno mojego pokoju wychodziło na rue Puget, dużo węższą od rue Coustou i tworzącą z nią coś na kształt trójkąta. Mój pokój znajdował się na wierzchołku owego trójkąta. Nie było okiennic ani zasłon. W nocy neonowy szyld warsztatu w dole, przy rue Coustou, rzucał na ścianę nad moim łóżkiem czerwone i zielone refleksy. Nie przeszkadzało mi to. Przeciwnie, działało uspokajająco. Ktoś nade mną czuwał. Może czerwone i zielone sygnały przybywały z bardzo daleka, z czasów, gdy moja matka była w tym pokoju, leżała na tym samym łóżku i tak jak ja próbowała zasnąć. Zapalały się, gasły, zapalały, kołysząc mnie do snu i ostatecznie usypiając. Dlaczego wynajęłam ten właśnie pokój, podczas gdy mogłam wybrać inny w innej dzielnicy? Wtedy wszakże nie byłoby tych czerwonych i zielonych sygnałów, regularnych niczym bicie serca, sygnałów, które w końcu uznałam za jedyne ślady swojej przeszłości.

W każdy dzień tygodnia musiałam jeździć w okolice Lasku Bulońskiego do bogatych ludzi, których córeczkę bawiłam. Dostałam to zajęcie pewnego popołudnia, gdy w porywie rozpaczy zjawiłam się w agencji pośrednictwa pracy, którą przypadkiem wybrałam w książce telefonicznej. W Agencji Taylor.

Rudy wąsaty mężczyzna w garniturze prince-de-galles przyjął mnie w gabinecie wyłożonym ciemną boazerią. Poprosił, abym usiadła. Odważyłam się powiedzieć, że po raz pierwszy szukam tego rodzaju pracy.

– Chce pani rzucić studia?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Odparłam, że nie studiuję.

– Kiedy pani weszła, pomyślałem, że jest pani studentką.

Wymówił to słowo z takim szacunkiem, że zastanowiłam się, jakie cudowne ma z nim skojarzenia, i naprawdę pożałowałam, że nie jestem studentką.

– Może mam coś dla pani... trzy godziny dziennie... opieka nad dzieckiem.

Owładnęło mną nagle wrażenie, że nikt już nie zachodzi do Agencji Taylor, a rudy jegomość spędza w samotności długie popołudnia, siedząc za biurkiem i marząc o studentkach. Na jednej ze ścian, tej po mojej lewej, wisiała duża tablica z narysowanymi mężczyznami w wiernie przedstawionych strojach kamerdynera i szofera i kobietami w mundurkach piastunki i pielęgniarki, jak mi się zdawało. A pod tablicą widniał napis dużymi czarnymi literami: AGENCJA ANDRÉ TAYLOR.

Uśmiechnął się. Powiedział, że tablica pochodzi z czasów jego ojca i mogę się nie bać: nie będę potrzebowała uniformu. Ludzie, u których

miałam się stawić, mieszkali w rejonie Neuilly i szukali kogoś do opieki nad córeczką późnym popołudniem.

Pierwszy raz pojechałam do nich w listopadowy deszczowy dzień. Nie spałam w nocy i zastanawiałam się, jak mnie przyjmą. Człowiek z agencji powiedział, że są dość młodzi, i podał mi kartkę, na której zapisał ich nazwisko i adres: Valadier, bulwar Maurice'a Barrès'a 70. Deszcz padający od rana wzbudzał we mnie pragnienie, by opuścić ten pokój i miasto. Jak tylko zarobię trochę pieniędzy, wyjadę na południe Francji, a nawet jeszcze dalej. Próbowałam się ucześcić tej perspektywy i nie pograć się raz na zawsze. Należało się utrzymać na powierzchni, wykazać jeszcze pewną dozę cierpliwości. Do Agencji Taylor udałam się gnana resztką instynktu przetrwania. Gdyby nie on, nie starczyłoby mi odwagi, by wyjść z łóżka i z pokoju. Wciąż miałam w pamięci tablicę zawieszoną na ścianie w agencji. Bardzo bym zdziwiła rudego jegomościa, gdybym mu powiedziała, że mnie by nie przeszkadzało noszenie mundurka piastunki, a tym bardziej pielęgniarki. Mundurek pomógłby mi zebrać w sobie odwagę i cierpliwość, byłby niczym gorset, dzięki któremu możesz chodzić prosto. Tak czy owak nie miałam wyboru. Dotąd szczęście mi nawet sprzyjało, znalazłam dwie posady sprzedawczyni na czas określony, jedną w sklepie Trois Quartiers, drugą w perfumerii przy Wielkich Bulwarach. Ale Agencja Taylor załatwi mi może pracę na dłużej. Nie robiłam sobie złudzeń co do swoich możliwości. Nie byłam artystką jak moja matka. Mieszkając w Fossombronne-la-Forêt, pracowałam w Auberge Vêrte przy Grand-Rue. Przychodziło tam dużo gości, często przyjezdnych z Paryża. Praca w zajeździe nie była dla mnie zbyt męcząca. Obsługiwałam za barem, w jadalni, czasami w recepcji. Zimą codziennie rozpalałam ogień z bierwion w niedużym, wyłożonym drewnem pomieszczeniu koło baru,

gdzie można było poczytać gazety i pograć w karty. Wytrzymałam w tej pracy do szesnastego roku życia.

Deszcz ustał na place Blanche, kiedy weszłam do metra. Wsiadłam na stacji Porte-Maillot i ogarnęło mnie silne poruszenie. Znałam tę dzielnicę. Pomyślałam, że musiałam śnić o pierwszej wizycie u tych ludzi. A teraz przeżywałam to, co sobie wyśniłam: jazdę metrem, drogę do ich domu, dlatego właśnie miałam uczucie *déjà-vu*. Bulwar Maurice'a Barrèsa biegł wzdłuż Lasku Bulońskiego i w miarę jak szłam coraz dalej, poruszenie narastało we mnie, aż w końcu przemieniło się w niepokój. Tyle że teraz się zastanawiałam, czy aby nie śnię. Uszczypnęłam się w rękę, walnęłam dłonią w czoło, próbując się przebudzić. Niekiedy wiedziałam, że jestem we śnie, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, lecz to wszystko nie miało wielkiego znaczenia, ponieważ w każdej chwili mogłam się obudzić. Pewnej nocy zostałam nawet skazana na śmierć – działo się to w Anglii, nazajutrz z rana miałam zawisnąć na stryczku – odprowadzono mnie do celi, byłam jednak bardzo spokojna, uśmiechałam się do strażników, wiedziałam bowiem, że im się wymknę, budząc się w pokoju przy rue Coustou.

Trzeba było przebyć bramę i pójść żwirową alejką. Zadzwoiłam do drzwi domu z numerem 70 wyglądającego jak luksusowa willa. Otworzyła mi jasnowłosa kobieta, która powiedziała, że nazywa się madame Valadier. Zdawała się zakłopotana, mówiąc „madame”, jakby to słowo jej nie odpowiadało, lecz musiała go używać w życiu codziennym. Kiedy później człowiek z Agencji Taylor zapytał: „I co pani sądzi o państwie Valadier?”, odparłam: „To piękna para”. A jego zdziwiła moja odpowiedź.

Mieli obydwójce około trzydziestu pięciu lat. On był wysokim brunetem o bardzo miękkim głosie i niejakej elegancji, jego żona popielatą blondynką. Siedzieli obok siebie na kanapie równie zażenowani jak ja.

Zaintrygowało mnie, że jakby tymczasowo zajmują na piętrze ów ogromny salon, w którym oprócz kanapy i fotela nie ma żadnych innych sprzętów. Ani żadnego obrazu na białych ścianach.

Tamtego popołudnia poszliśmy z małą na krótki spacer po drugiej stronie ulicy, ulicami, które otaczają ogród botaniczny. Milczała, wydawała się jednak ufna, jakbyśmy nie po raz pierwszy wędrowały razem. Ja także miałam wrażenie, że dobrze ją znam i już wraz z nią chodziłam tymi ulicami.

Po powrocie do domu chciała mi pokazać swój pokój na drugim piętrze, duży pokój, z którego okien rozpościerał się widok na drzewa w ogrodzie botanicznym. Z powodu boazerii oraz dwóch gablot wbudowanych po obu stronach kominka pomyślałam, że ten pokój był kiedyś salonikiem bądź gabinetem, w żadnym razie pokojem dziecięcym. Łóżko także nie było dziecięce – szerokie, o ramie ozdobionej pikowaną tapicerką. A w jednej z gablot ustawiono kilka figur szachowych z kości słoniowej. Niewątpliwie gdy państwo Valadier wprowadzili się do tego domu, tapicerowane łoże i figury szachowe znajdowały się w nim wraz z innymi rzeczami, których poprzedni mieszkańcy zapomnieli lub nie zdążyli zabrać. Mała nie odrywała ode mnie oczu. Może chciała wiedzieć, co sądzę o jej pokoju. Powiedziałam w końcu: „Masz tu dużo miejsca”, a ona bez większego przekonania kiwnęła głową. Dołączyła do nas jej matka. Wyjaśniła, że mieszkają w tym domu dopiero od kilku miesięcy, lecz nie zdradziła, gdzie mieszkali przedtem. Mała chodziła do szkoły niedaleko, przy rue de la Ferme, a ja codziennie o wpół do piątej po południu miałam ją stamtąd odbierać. Z pewnością w tej właśnie chwili powiedziałam: „Tak, madame”. Wtedy jej twarz rozjaśnił ironiczny uśmiech. „Proszę nie mówić mi «madame». Proszę się zwracać do mnie... Véra”. Lekko się zawahała, jakby zmyśliła imię. Przedtem, kiedy się ze

mną witała, wzięłam ją za Angielkę bądź Amerykankę, lecz teraz uświadomiłam sobie, że ma akcent paryski, akcent, który w starych romansach nazywany jest akcentem z przedmieść.

– Véra to bardzo ładne imię – powiedziałam.

– Tak pani sądzi? – Zapaliła lampkę na stoliku nocnym i dodała: – Za mało jest światła w tym pokoju. – Mała wyciągnęła się na parkiecie pod jedną z gablot i oparta na łokciach z powagą kartkowała zeszyt szkolny. – To niezbyt wygodne – zauważyła. – Trzeba jej znaleźć jakieś biurko, żeby miała gdzie odrabiać lekcje.

Odniosłam to samo wrażenie co przedtem, kiedy siedzieliśmy w salonie: Valadierowie zatrzymali się w tym domu na postój. Z pewnością zauważyła moje zaskoczenie, ponieważ dodała:

– Nie wiem, czy pomieszkamy tu dłużej. Mąż zresztą nie bardzo lubi sprzęty...

Uśmiechała się wciąż jednakowo ironicznie. Zapytała, gdzie ja mieszkam. Odparłam, że znalazłam sobie pokój w dawnym hotelu.

– Aha... My też przez jakiś czas mieszkaliśmy w hotelu.

Ciekawiło ją, w jakiej dzielnicy.

– Niedaleko place Blanche.

– Ależ to dzielnica mojego dzieciństwa – powiedziała, marszcząc lekko brwi. – Mieszkałam przy rue de Douai.

W tej chwili tak bardzo przypominała zimną amerykańską blondynkę, wypisz, wymaluj bohaterkę filmów kryminalnych, że pomyślałam, iż jej głos zdublowano – jak w kinie – tak bardzo zdumiewało mnie, że mówi po francusku.

– Kiedy chodziłam do liceum Jules’a Ferry’ego, w drodze powrotnej okrążałam kwartał domów i przechodziłam przez place Blanche.

Dawno nie była w swej dawnej dzielnicy. Przez wiele lat mieszkała w Londynie. Tam poznała męża. Mała nie zwracała już na nas uwagi. Nadal leżała na podłodze, z zaaferowaną miną pisała teraz w innym zeszycie, nie przerywając ani na chwilę.

– Odrabia zadania – powiedziała. – Zobaczysz pani... w wieku siedmiu lat ma prawie dorosłe pismo...

Zrobiło się ciemno, choć była dopiero piąta po południu. Wokół panowała cisza, taka, jaką o tej porze dnia znałam z Fossombronne-la-Forêt, gdy byłam w tym samym wieku co teraz mała. Zdaje się, że ja również wtedy miałam dorosły charakter pisma. Zebrałam kiedyś reprimendę, przestałam bowiem pisać obsadką, a przeszłam na długopis. Z ciekawości zerknęłam, czym pisze mała: długopisem. W jej szkole przy rue de la Ferme niewątpliwie pozwalano uczniom używać przezroczystych długopisów Bic z czarnymi, czerwonymi lub zielonymi skuwkami. Czy umie stawiać duże litery? Myślę w każdym razie, że wtedy już nie uczono kaligrafii, kreślenia linii grubych i cienkich.

Odprowadziły mnie na parter. Po lewej otwarte były dwuskrzydłowe drzwi, za którymi znajdowało się duże puste pomieszczenie z biurkiem w głębi. Pan Valadier siedział na rogu blatu, rozmawiając przez telefon. Z żyrandola padało ostre światło. Mówił w jakimś dziwnie brzmiącym języku, który jeden Moreau-Badmajew zdołałby zrozumieć, może był to perski z łąk. W kąciuku ust trzymał papierosa. Dał mi znak ręką.

– Proszę pozdrowić ode mnie Moulin-Rouge – szepnęła, patrząc na mnie smutnym wzrokiem, jakby mi zazdrościła, że wracam do tej dzielnicy.

– Do widzenia, madame.

Tak mi się wyrwało, lecz poprawiła mnie zaraz:

– Nie. Do widzenia, Véra.

Powtórzyłam zatem:

– Do widzenia, Véra.

Czy to imię rzeczywiście nosiła czy też wybrała je sobie, bo prawdziwe jej się nie podobało, wybrała je w chwili słabości pewnego dnia na podwórzu liceum Jules’a Ferry’ego?

Szła ku drzwiom miękkim krokiem, krokiem zimnych tajemniczych blondynek.

– Odprowadź panią kawałeczek – powiedziała do córki. – Tak wypada.

Mała kiwnęła głową i rzuciła mi niespokojne spojrzenie.

– Kiedy jest ciemno, często posyłam ją, by obeszła kwartał domów. Ma zabawę. Wydaje się jej, że jest dorosła. Kiedyś nawet zażyczyła sobie zrobić drugą rundkę... Chce się wprawiać, żeby nie czuć więcej strachu...

Z głębi pomieszczenia za dwuskrzydłowymi drzwiami miękki głos pana Valadiera docierał do mnie po długich chwilach ciszy, tak że zastanawiałam się za każdym razem, czy przerwał rozmowę przez telefon.

– Niedługo przestaniesz się bać ciemności i nie będziemy musieli zostawiać ci włączonego światła, dopóki nie usniesz.

Pani Valadier otworzyła drzwi domu. Kiedy zobaczyłam, że mała zamierza wyjść na dwór w samej spódniczce i bluzce, powiedziałam:

– Może powinnaś włożyć płaszczk...

Wyglądała na zdziwioną i niemal uspokojoną, że jej doradzam, i popatrzyła na matkę.

– Tak, tak... weź płaszcz.

Szybciutko wbiegła na schody. Pani Valadier wpatrywała się we mnie jasnymi oczami.

– Dziękuję – powiedziała. – Dobrze będzie się nią pani zajmowała... My z mężem tacy jesteśmy czasem pogubieni...

Wciąż patrzyła na mnie wzrokiem, który nasuwał mi przypuszczenie, że zaraz się rozpłacze. Jednakże twarz miała niewzruszoną, a w jej oczach



nie dostrzegłam ani łezki.

\*

Minęłyśmy kwartał budynków. Powiedziałam do małej:

– Może już powinnaś zawrócić...

Ale chciała odprowadzić mnie jeszcze kawałek. Wyjaśniłam, że muszę iść do metra.

W miarę jak podążałyśmy wzdłuż ulicy, wzbierało we mnie przekonanie, że już kiedyś szłam tą drogą. Drzewa Lasku Bulońskiego, zapach suchych liści i mokrej ziemi budziły jakieś wspomnienie. Takie samo uczucie opanowało mnie przedtem w pokoju małej. To, o czym dotąd pragnęłam zapomnieć, a raczej starałam się nie myśleć jak ten, kto usiłuje nie spoglądać za siebie w obawie przed zawrotem głowy, to wszystko miało z wolna wypłynąć na powierzchnię, ja zaś teraz byłam gotowa stawić temu czoło. Szłyśmy ulicą, która biegnie wzdłuż ogrodu botanicznego, mała wzięła mnie za rękę, by przejść na drugą stronę w kierunku stacji Porte-Maillot.

– Daleko mieszkasz?

Zadała to pytanie jakby w nadziei, że zabiorę ją do siebie. Znalazłyśmy się przy wejściu do metra. Czułam wyraźnie, że wystarczyłoby jedno moje słowo, by poszła za mną schodami w dół i nie wróciła już do rodziców. Doskonale ją rozumiałam. Zdawało mi się nawet, że mieści się to w porządku rzeczy.

– Teraz moja kolej, żeby odprowadzić ciebie.

Perspektywa powrotu do domu wyraźnie ją rozczarowała. Powiedziałam jednak, że w następnym tygodniu zabiorę ją do metra. Szłyśmy ulicą w przeciwnym kierunku. Jakieś dwa, trzy tygodnie później wydało mi się, że rozpoznałam swoją matkę w tunelach stacji Châtelet.

Wyobrażałam sobie, że o tej porze idzie w żółtym płaszczu przez podwórze osiedla na drugim końcu Paryża. W klatce schodowej przystaje na każdym piętrze. Nieudana randka. Zguba nigdy się nie odnajdzie. Może za dwadzieścia lat ta mała natknie się jak ja na swoich rodziców pewnego wieczoru w porze szczytu, w tych samych tunelach, w których widnieją wypisane kierunki linii metra.

Palilo się światło w jednych z przeszklonych drzwi na parterze, w pokoju, w którym pan Valadier przedtem rozmawiał przez telefon. Zadzwoiłam do drzwi, lecz nikt nie przyszedł otworzyć. Mała była spokojna, jakby przywykła do tego rodzaju sytuacji. Po chwili powiedziała: „Wyszli” i uśmiechnęła się, wzruszając ramionami. Myślałam, czyby nie zabrać jej i nie przenocować u siebie, a ona niewątpliwie zgadywała moje myśli. „Tak... wyszli na pewno...” Uprzedzała w ten sposób, że nie mamy tu czego szukać, lecz ja dla spokoju sumienia podeszłam do oświetlonych przeszklonych drzwi i zajrzałam przez szybę. Pomieszczenie było puste. Znowu zadzwoniłam. Wreszcie rozległy się czyjeś kroki i w chwili gdy drzwi się uchyliły, przepuszczając smugę światła, na twarzy dziewczynki pojawił się straszny zawód. Otworzył nam jej ojciec. Był w płaszczu.

– Długo pani się dobija? – zapytał uprzejmie obojętnym tonem. – Wejdzie pani? – Mówił do nas jak do gości, którzy zjawili się niespodzianie. Nachylił się do małej. – A więc zrobiłaś sobie długi spacer?

Nie odpowiedziała.

– Żona wyszła na kolację do przyjaciół – rzekł do mnie – a ja właśnie też tam się wybieram.

Mała wahała się, czy wejść. Spojrzała na mnie po raz ostatni, mówiąc „Do jutra” z niepokojem w głosie, jakby nie była pewna, czy wróć. Pan Valadier uśmiechnął się blado. Po czym drzwi zamknęły się za nimi.

Stałam bez ruchu po przeciwnej stronie ulicy pod drzewami. Na drugim piętrze zapaliło się światło w oknie pokoju małej. Niebawem pan Valadier wyszedł z domu żwawym krokiem. Wsiadł do czarnego samochodu. Była samiutka w domu, dlatego zostawiała włączoną lampkę i przy niej zasypiała. Pomyślałam, że miałyśmy szczęście: chwilę później nikt by nam nie otworzył drzwi.

Pewnej niedzieli – w tygodniu, w którym zaczęłam pilnować małej albo w następnym – wróciłam do Vincennes. Wolałam pojechać wcześniej niż zwykle, przed zapadnięciem ciemności. Tym razem wysiadłam na końcu linii, na stacji Château-de-Vincennes. Świeciło słońce tamtej jesiennej niedzieli i znowu kiedy przechodziłam przed zamkiem, a także w chwili gdy zbaczałam w rue du Quartier-de-Cavalerie, ogarnęło mnie wrażenie, że znajduję się w prowincjonalnym mieście. Tylko ja tam szłam, zza muru zaś na początku ulicy dobiegało miarowe stukanie kopyt.

Rozmarzyłam się wówczas o tym, jak mogłoby być: po wielu latach nieobecności wysiadam z pociągu na niedużej stacyjce – na stacyjce mojego Kraju Ojczystego. Nie pamiętam już, w której książce odkryłam wyrażenie „kraj ojczysty”. Te dwa słowa musiały oznaczać coś, co poruszało mnie do głębi albo wywoływało wspomnienie. Bo przecież ja także w dzieciństwie poznałam wiejską stacyjkę, na którą przyjechałam z Paryża z zawieszoną na szyi etykietą opatrzoną moim nazwiskiem.

Wystarczyło, że ujrzałam kwartał domów na końcu ulicy, a marzenie pierzchnęło. Nie było żadnego kraju ojczystego, tylko przedmieście, na którym nikt na mnie nie czekał.

Przeszłam przez bramę i zapukałam do konsjerżki. Wystawiła głowę przez uchylone drzwi. Chyba mnie poznała, chociaż rozmawiałyśmy tylko raz. Była dość młodą kobietą, krótko ostrzyżoną brunetką. Miała na sobie różowy wełniany szlafrok.

– Chciałam zapytać panią o coś w związku z panią... Boré.

Zawahałam się przed nazwiskiem i bałam się, że nie będzie wiedziała, o kogo chodzi. Tym razem jednak nie musiała sprawdzać w spisie

mieszkańców wywieszonym na drzwiach.

– Tą z czwartego w klatce A?

– Tak.

Zapamiętałam, na którym piętrze mieszka. Odkąd to wiedziałam, często wyobrażałam ją sobie, jak pokonuje kolejne piętra krokiem coraz wolniejszym. Jednej nocy śniło mi się nawet, że spada na dół klatki schodowej, a po przebudzeniu nie potrafiłam powiedzieć, czy było to samobójstwo czy wypadek. Może nawet ja ją zepchnęłam.

– Już pani tu chyba kiedyś była...

– Tak.

Uśmiechała się do mnie. Wyglądało na to, że wzbudzam w niej zaufanie.

– Wie pani, że znowu narozrabiała? – Powiedziała to obojętnie, jakby nic nie mogło jej zdziwić ze strony lokatorki z czwartego piętra w klatce A.

– Pani jest z rodziny?

Wystraszyłam się, że przytaknę. I sprowadzę na siebie pradawną klątwę, starą zarazę.

– Nie, skądże znowu. – W porę wycofałam się z grząskiego gruntu. – Znam osoby z jej rodziny – dodałam. – Na ich prośbę przyszedłam, żeby zasięgnąć o niej wieści...

– A jakie ja mogę mieć wieści? Zawsze jest tak samo, pani wie... – Wzruszyła ramionami. – Teraz nawet się do mnie nie odzywa. A jeśli już, to szuka pretekstu, żeby mi nawymyślać.

Ostatnie słowo wydało mi się nader uprzejme i łagodne. Po tylu latach pojawiła się przede mną, jakby wychynawszy z otchłani, wykrzywiona twarz, wytrzeszczone oczy, niemal piana na ustach. I rozległ się ochrypły głos, stek przekleństw. Obcy człowiek w życiu by nie pomyślał, że taka

piękna twarz tak nagle może się zmienić. Poczułam, że znowu ogarnia mnie strach.

– Przyszła pani ją odwiedzić?

– Nie.

– Powinna pani uprzedzić rodzinę, że nie płaci czynszu.

Te słowa, może również dzielnica, gdzie każdego popołudnia odbierałam ze szkoły małą, skierowały moje myśli ku mieszkaniu w pobliżu Lasku Bulońskiego, które wbrew swej woli pamiętałam: ujrzałam duży pokój z trzema stopniami pokrytymi pluszem, obraz Toli Sungurowa, mój pokój jeszcze bardziej pusty niż pokój małej... Z czego w tamtym czasie opłacała czynsz?

– Trudno będzie ją wyrzucić. No i jest znana w okolicy... Ludzie nawet nadali jej przezwisko...

– Jakie?

Naprawdę byłam ciekawa. A jeśli brzmiało tak samo jak to, którym obdarzono ją dwadzieścia lat wcześniej?

– Mówią na nią Ołżyśmierć. – Powiedziała to miłym głosem, jakby chodziło o czułe zdrobnienie. – Czasem się zdaje, że już-już pożegna się z życiem, a następnego dnia biega wesolutka i miła albo wycina jakieś świństwo.

Dla mnie przezwisko to miało zupełnie inną wymowę. Sądziłam, że umarła w Maroku, a teraz odkrywałam, że ożyła gdzieś na przedmieściu Paryża.

– Dawno tu mieszka? – zapytałam.

– O, tak! Była tu długo przede mną... Będzie pewnie przeszło sześć lat.

A zatem mieszkała w tym bloku, kiedy ja jeszcze byłam w Fossombronne-la-Forêt. Pamiętałam kawałek ugoru niedaleko kościoła, teren zarośnięty trawą i chaszczami. W czwartkowe popołudnia bawiliśmy

się tam w chowanego albo zapuszczali się jak najdalej w dżunglę nazywaną Szwabską Łączką. Znalaziono na niej hełm i na poły zbutwiałą kurtkę wojskową, które bez wątpienia porzucił tam jakiś żołnierz po zakończeniu wojny, ludzie stale się jednak bali, że znajdą jego szkielet. Nie rozumiałam, co znaczy słowo „szwabska”. Frédérique, kobieta, która znała moją matkę i przygarnęła mnie do siebie, była nieobecna tamtego dnia, gdy jej koleżankę, brunetkę o twarzy boksera, zapytałam, co znaczy „szwabska”. Być może pomyślała, że słowo to wzbudza we mnie strach, i chciała mnie uspokoić. Uśmiechnęła się i powiedziała, że na Niemców mówiono „Szwaby”, ale to nie było bardzo obraźliwe. „Na twoją mamę też wołali «Szwabka»... Tak dla żartu...” Frédérique była zła, że brunetka mi to wyjawiała, ale nie doczekałam się żadnego wyjaśnienia. Była przyjaciółką mojej matki. Musiała ją znać w czasach, gdy mama była tancerką. Nazywała się Frédérique Chatillon. W domu w Fossombronne-la-Forêt zawsze była jakaś jej koleżanka, nawet pod jej nieobecność: Rose-Marie, Jeannette, Madeleine-Louis i inne, których imiona zapomniałam, oraz brunetka – ona także znała moją matkę, gdy była tancerką, i nie lubiła jej.

– Mieszka sama? – spytałam konsjerżki.

– Długo przychodził do niej mężczyzna... Pracował przy koniach tu, w okolicy... Taki w typie północnoafrykańskim.

– I już nie przychodzi?

– Ostatnio nie.

Zaczynała odrobinę nieufnie zerkać na mnie z powodu tych pytań. Kusiło mnie, by powiedzieć jej wszystko. Moja matka przyjechała do Paryża jako małe dziecko. Tańczyła. Nazywano ją Szwabka. Mnie nazywano Perełka. Za długie i za skomplikowane to było, aby opowiadać tu, na dworze, przed blokiem.

– Problem w tym, że winna mi jest dwieście franków.

Pieniądze zawsze nosiłam przy sobie w płócienną saszetkę na sznurku, którym obwiązywałam się w pasie. Sięgnęłam do saszetki. Został mi jeszcze banknot stufrankowy, pięćdziesięciofrankowy i trochę drobnych. Wręczyłam jej obydwie banknoty, mówiąc, że resztę przyniosę w któryś dzień.

– Bardzo dziękuję.

Szybciutko wsunęła pieniądze do kieszeni szlafroka.

Jej nieufność nagle się rozwiązała. Mogłabym teraz zadać każde pytanie na temat Ołżyśmierci.

– A jak chodzi o czynsz... powiem pani następnym razem.

Właściwie nie zamierzałam więcej przychodzić. Czego jeszcze mogłabym się dowiedzieć? I po co?

– Parę razy odcięli jej prąd. Zawsze wtedy mówię sobie, że tak jest dla niej lepiej. Bo używa koca elektrycznego... To niebezpieczne.

Wyobraziłam ją sobie, jak wkłada do kontaktu wtyczkę od koca elektrycznego. Zawsze lubiła tego typu wynalazki, które przez jakiś czas sprawiają wrażenie bardzo nowoczesnych, po czym idą w zapomnienie albo stają się powszechnie używane. Przypomniałam sobie, że w tamtych czasach, pomyślniejszych dla niej, w czasach, kiedy zajmowałyśmy duże mieszkanie w pobliżu Lasku Bulońskiego, ktoś przyniósł jej skrzyneczkę obciągniętą zieloną skórą, z której można było słuchać radia. Później zrozumiałam, że był to pierwszy odbiornik tranzystorowy.

– Powinna jej pani poradzić, żeby nie używała koca elektrycznego.

Akurat, to wcale nie było takie proste. Czy kiedykolwiek w życiu posłuchała dobrej rady? A zresztą i tak było za późno.

– Nie wie pani, jak się nazywa mężczyzna, który ją odwiedzał?

Zachowała list od niego przysłany przed trzema miesiącami z należnością za czynsz. Przez uchylone drzwi widziałam, jak grzebie



w dużym pudle wśród szpargałów.

– Nie mogę znaleźć. Myślę w każdym razie, że ten człowiek więcej nie przyjdzie...

Bez wątpienia właśnie do niego dzwoniła wtedy wieczorem z budki. Po dwunastu latach miała jeszcze, o cudzie, kogoś, na kogo mogła liczyć. Ale jego również w końcu zniechęciła. Już w epoce, kiedy nazywałam się Perełka, bywało, że całymi dniami przesiadywała w swoim pokoju odcięta od świata, nikogo nie widując, nawet mnie, tak że po jakimś czasie już nie wiedziałam, czy jeszcze tam jest czy też zostawiła mnie samą w tym ogromnym mieszkaniu.

– Jak ona mieszka? – zapytałam.

– W dwóch pokoikach z kuchnią z prysznicem.

Duże były szanse, że materac leży na podłodze blisko gniazdka. Tym sposobem prościej było włączyć wtyczkę koca rozgrzewającego.

– Powinna pani wejść na górę. Zdziwiłaby się taką wizytą.

Gdybyśmy się znalazły twarzą w twarz, nie wiedziałyby nawet, kim jestem. Zapomniała swoją Perełkę i wszystkie nadzieje, które we mnie pokładała w czasach, gdy nadała mi to imię. Na jej nieszczęście nie zostałam wielką artystką.

– Mogę prosić panią o przysługę? – Już grzebała w pudle i zaraz podawała mi kopertę. – To wezwanie do zapłaty czynszu. Boję się dać jej to, bo znowu mi nawymyśla.

Wzięłam kopertę i przesłałam przez podwórze. Kiedy wchodziłam do klatki A, poczułam taki ciężar przy sercu, aż straciłam dech. Stopnie schodów były cementowe, a poręcz żelazna jak w szkołach albo szpitalach. Na każdym podeście przez dużą szybę wpadało jasne, niemal białe światło. Przystanęłam na pierwszym piętrze. Po obu stronach były jedne drzwi i trzecie pośrodku, wszystkie takie same, z ciemnego drewna, z nazwiskiem

lokatora. Próbowałam odzyskać dech, lecz ciężar stawał się coraz większy, aż zdjął mnie strach, że się uduszę. Aby się więc uspokoić, wyobraziłam sobie, jakie może widnieć nazwisko na jej drzwiach. Prawdziwe czy to, które było jej pseudonimem artystycznym? Albo może po prostu: SZWABKA bądź OŁŻYŚMIERĆ? W czasach gdy nazywałam się Perełka i wracałam sama do kamienicy w pobliżu Lasku Bulońskiego, długo zostawałam w windzie. Zabezpieczała ją czarna krata, aby zaś wejść do środka, należało popchnąć dwoje przeszkłonych skrzydeł drzwi. Wewnątrz znajdowała się ławeczka obita czerwoną skórą, szyba z każdej strony, pod sufitem kulista lampa. Zupełnie jak w pokoju. Właśnie windę pamiętam najwyraźniej.

Na drugim piętrze znowu poczułam ten duszący ciężar. Spróbowałam zatem przypomnieć sobie inne schody z grubym czerwonym chodnikiem i miedzianymi poręczami. Z jednymi tylko dwuskrzydłowymi drzwiami na każdym piętrze. Białymi.

Zawróciło mi się w głowie. Odsuwałam się jak najdalej od poręczy, niemal przyklejałam się do ściany. Byłam wszakże zdecydowana iść aż do końca. Znowu słyszałam panią Valadier – a raczej Véré – jak mówi o dziewczynce: „Sama obchodzi po ciemku cały kwartał domów. Chce się wprawiać, żeby nie czuć więcej strachu...”. Cóż, ze mną było podobnie. Pójdę dalej, dotrę do drzwi Ołżyśmierci i będę krótko naciskała dzwonek, póki nie podejdzie do drzwi. A w chwili gdy się otworzą, odzyskam spokój i powiem obojętnie: „Nie powinna pani używać koca rozgrzewającego. To kompletny idiotyzm...”. I chłodnym okiem będę patrzyła, jak gniew powleka bladością i wykrzywia jej twarz. Pamiętałam, że nie bardzo lubiła, aby jej mówiono o przyziemnych detalach. Tak jednak było w czasach ogromnego mieszkania, kiedy chciała pozostać tajemnicza.

Doszłam na czwarte piętro. Tam również było troje drzwi, lecz farba się z nich łuszczyła, podobnie jak farba ze ścian w kolorze brudnego beżu. Pod

sufitem zwisała zapalona żarówka. Na drzwiach po lewej taśmą przyklejono kawałek kartki w kratkę, na której nierównymi dużymi literami wypisano czarnym atramentem: BORE.

Odnosiłam wrażenie, że nie wspierałam się po schodach, lecz zesłałam w głąb studni. Trzeba było dwunastu lat, żeby białe dwuskrzydłowe wejście przeobraziło się w te stare odrapane drzwi oświetlone nikłym blaskiem żarówki, a złocona tabliczka z wygrawerowanymi słowami: HRABINA SONIA O'DAUYÉ stała się kartką wyrwaną z zeszytu przeciętą prostym nazwiskiem: BORE.

Stałam pod drzwiami, nie dzwoniąc. Często gdy wracałam sama do ogromnego mieszkania przy Lasku Bulońskim i dzwoniłam, nikt mi nie otwierał. Wówczas schodziłam na dół i szłam zatelefonować z kawiarni kawałek dalej przy ulicy. Właściciel dobrotliwie na mnie patrzył, klienci również. Wyglądali, jakby wiedzieli, kim jestem. Musieli się dopytać. Pewnego dnia jeden powiedział: „To ta mała spod sto dwadzieścia dziewięć”. Nie miałam pieniędzy i nie kazano mi płacić za połączenie. Wchodziłam do kabiny telefonicznej. Aparat zamocowany na ścianie był dla mnie za wysoko, toteż musiałam się wspinać na palce, aby wybrać numer: PASSY 15 28. Ale nikt nie odpowiadał u hrabiny Soni O'Dauyé. Przez krótką chwilę korciło mnie, by zadzwonić. Byłam niemal pewna, że podejście do drzwi. Przede wszystkim mieszkanie było za małe, aby dźwięk dzwonka zgubił się gdzieś w dali, jak w amfiladzie pokojów z numerem telefonu PASSY 15 28. Poza tym goście tu bywali rzadko, ona zaś czyhała na najmniejsze wydarzenie, które przerwałoby jej samotność. Albo też ciągle jeszcze liczyła na wizytę mężczyzny, który od jakiegoś czasu przestał przychodzić – jegomościa w typie północnoafrykańskim... Choć niewykluczone, że napady dzikości, które chwilami ją opanowywały

i sprawiały, że zamykała się w swoim pokoju lub znikwała na kilka dni, nasiliły się w ciągu tych dwunastu lat.

Położyłam kopertę na słomiance. Po czym szybciotko zbiegłam po schodach, na każdym piętrze czując się lżejsza, jakbym uniknęła zagrożenia. Na podwórzu zdziwiłam się, że mogę oddychać. Jakaż to ulga stąpać po twardej ziemi, po budzącym zaufanie chodniku... Przed chwilą tam, pod drzwiami, wystarczyłby jeden gest, jeden krok, by zsunąć się na grząski grunt.

\*

Drobnych zostało mi dosyć, by pojechać metrem. W wagonie opadłam na ławkę. Uczucie niezwykłego znużenia i przygnębienia zastąpiło euforię, którą odczuwałam, oddalając się od tamtego bloku. Na próżno przemawiałam sobie do rozsądku, mówiłam, że kobieta, którą nazywają Ołżyśmierć, nie ma już nic wspólnego ze mną i nawet by mnie nie poznała, gdybyśmy stanęły twarzą w twarz – nie byłam w stanie rozproszyć złego samopoczucia. Przegapiłam stację Nation, gdzie powinnam była się przesiąść na inną linię, a ponieważ znowu tak jak przedtem miałam trudności z oddychaniem, wyszłam na wolne powietrze.

Stałam przed Dworcem Lyońskim. Było już ciemno, wskazówki wielkiego zegara stały na godzinie piątej. Najchętniej wsiadłabym do pociągu, by nazajutrz bladym świtem dotrzeć na południe Francji. Nie wystarczało, że wyszłam z bloku, nie zadzwoniwszy do drzwi. Musiałam jeszcze jak najszybciej opuścić Paryż. Na nieszczęście brakowało mi pieniędzy na bilet. Dałam konsjerżce niemal wszystko, co miałam w saszetce. Co za śmieszny pomysł, żeby regulować długi Ołżyśmierci... Ale pamiętałam, że w ogromnym mieszkaniu w pobliżu Lasku Bulońskiego mnie jedną wołała, kiedy czuła się źle. Po kilkudniowym wyłączeniu się

z życia zjawiała się z obrzmiałą twarzą, błędnym wzrokiem. Zawsze o tej samej porze. O piątej po południu. I w tym samym miejscu. W salonie na pokrytych pluszem trzech stopniach tworzących coś w rodzaju estrady, na której porozkładała poduszki. Leżała na tych poduszkach. Zasłaniała twarz dłońmi. A kiedy słyszała, że idę, zawsze mówiła to samo: „Pomasuj mi nogi w kostkach”. Później, w Fossombronne-la-Forêt, budziłam się nagle w nocy. We śnie słyszałam ochrypły głos, który mówił: „Pomasuj mi nogi w kostkach”. I przez kilka chwil zdawało mi się, że jestem w ogromnym mieszkaniu. I że wszystko zacznie się od nowa.

Nie czułam w sobie dość odwagi, aby zejść do metra. Wolałam wrócić pieszo. Byłam jednak tak pogrążona w myślach, że szłam, gdzie mnie nogi niosły. Niebawem się zorientowałam, że krążę w kółko po kilku zabudowanych okazałymi gmachami ulicach, które się krzyżują niedaleko dworca. A doszedłszy do końca jednej z nich, stawałam na bulwarze Diderota, skąd widać było tabuny podróżnych w okolicy dworca oraz świetlisty szyld: Café Européen.

Hotel Terminus. Pomyślałam, że powinnam była wynająć pokój w tej dzielnicy. Jeśli się mieszka w pobliżu dworca, życie zupełnie się zmienia. Człowiek odnosi wrażenie, że jest tu przejazdem. Nic nigdy nie jest ostateczne. I tego czy innego dnia wsiada do pociągu. To dzielnice otwarte na przyszłość. Tymczasem cyferblat wielkiego zegara przypominał mi coś odległego. Sądzę, że na tym zegarze nauczyłam się odczytywać godzinę w czasach, gdy nazywałam się Perełka. Wtedy jeździłam już metrem. Połączenie było proste ze stacji Porte-Maillot do stacji Gare-de-Lyon. Czternaście przystanków, które liczyłam, żeby nie wysiąść na niewłaściwym. Kiedy docierałam do szczytu schodów, sprawdzałam na wielkim zegarze, czy nie jestem spóźniona. Czekał na mnie u wyjścia z metra. Czasami na tarasie Café Européen. Wujek, rodzony albo przyrodni

brat mojej matki. W każdym razie tak mi go przedstawiła. Często również słyszałam, jak mówiła przez telefon: „Mój brat się tym zajmie... Przyślę swojego brata...”. Pod nieobecność mojej matki zajmował się mną czasem. Nocował w naszym mieszkaniu. Rano odprowadzał mnie do szkoły. Wkrótce zaczęłam chodzić do niej sama, acz coraz rzadziej... W czwartki i niedziele jeździłam metrem do Dworca Lyońskiego na spotkanie z nim. Z początku rano przychodził po mnie do domu. Matka mu powiedziała, że nie warto, by się fatygował, mogę przecież sama pojechać metrem... Sądzę, że nie chciał się jej sprzeciwić, często jednak w sekrecie przed nią czekał na mnie przed wejściem do kamienicy.

Pierwszy raz od dawna szłam tą dzielnicą. Czy on nadal tutaj mieszka? Zostawialiśmy Dworzec Lyoński z tyłu, potem skręcaliśmy w lewo i szliśmy jedną z uliczek, które przemierzałam chwilę wcześniej. Aż docieraliśmy do alei wysadzonej drzewami. Tam wchodziliśmy do zawsze pustego warsztatu samochodowego. Szliśmy schodami do drzwi mieszkania. Mijaliśmy przedpokój otwierający się na pomieszczenie, w którym pośrodku ustawiono stół jadalny. Nazwiska nie miał takiego jak moja matka, chociaż – rzekomo – byli rodzeństwem. On się nazywał Jean Borand. W puszcze po ciastkach było jego zdjęcie, na którym zaraz go rozpoznałam. Na odwrocie zdjęcia ołówkiem wypisano jego nazwisko.

Ciągle czułam ów ciężar, który mnie dusił. Chętnie bym myślała o czym innym. Ale ten Jean Borand był dla mnie miły. Nie był złym wspomnieniem jak moja matka. Dotarłam do avenue Daumesnil, która przypominała tamtą aleję z warsztatem. Szłam nią, spoglądając na obie strony w poszukiwaniu warsztatu. Powiedziałabym, że chcę mówić z „panem Jeanem Borandem”. Taki, jak go zapamiętałam, na pewno by mnie powitał życzliwie, jak ongiś. Może by mnie nie rozpoznał. Niewątpliwie jednak pamiętał, że istniałam. Czy naprawdę był moim

wujkiem? W każdym razie on jeden mógł odpowiedzieć na moje pytania. Niestety, daremnie oglądałam od frontu wszystkie budynki po prawej i lewej stronie ulicy – niczego nie poznawałam. Nie było warsztatu. Nie było żadnego punktu zaczepienia. Pewnego wieczoru w tej dzielnicy przy Dworcu Lyońskim zabrał mnie do kina. Po raz pierwszy w życiu byłam wtedy w kinie. Sala wydała mi się ogromna, a wyświetlano *Rozstaje łuczników*, film, w którym jakiś czas wcześniej zagrałam z matką niewielką rolę. Nie rozpoznałam się na ekranie, a już kiedy usłyszałam swój głos, pomyślałam, że Perełka to inna dziewczynka, nie ja.

Tak, niepotrzebnie myślałam o tym wszystkim, nawet o Jeanie Borandzie. W niczym nie zawinił, lecz on także należał do tamtego okresu mojego życia. Nigdy nie powinnam była owej niedzieli wejść na schody prowadzące do drzwi tej, którą ongiś nazywano Szwabką, a dzisiaj Ołżyśmiercią. Teraz szłam przed siebie, licząc, że wkrótce dojdę do stacji Bastille i wsiądę do metra. Próbowałam się uspokoić. Niedługo, kiedy wrócę do swojego pokoiku, zatelefonuję do Moreau-Badmajewa. Na pewno jest w domu w niedzielny wieczór. Zaproponuję mu, żebyśmy poszli na kolację do kawiarni na place Blanche. Wszystko mu wytłumaczę, opowiem o swojej matce, Jeanie Borandzie, mieszkaniu przy Lasku Bulońskim i o tej, którą nazywano Perełką. Pozostałam taka sama, jakby Perełka się zakonserwowała nietknięta w lodowcu. Och, ten paniczny strach, który potrafił mnie dopaść na ulicy i obudzić nagle koło piątej nad ranem. A przecież zaznawałam długich okresów spokoju, kiedy w końcu o wszystkim zapominałam. Teraz jednak, gdy sądziłam, że moja matka nie umarła, nie wiedziałam już, jaką drogą podążać. Na niebieskiej tabliczce przeczytałam: avenue Ledru-Rollin. Krzyżowała się z ulicą, w której końcu znowu zobaczyłam gmach Dworca Lyońskiego i świecący cyferblat zegara. Zrobiłam kółko i wróciłam do punktu wyjścia. Dworzec był magnesem,

który mnie przyciągał, i był to znak od losu. Musiałam wsiąść do pociągu, natychmiast, i ZBURZYĆ MOSTY. Te słowa nagle przysły mi do głowy i nie mogłam się ich pozbyć. Dodawały mi jeszcze odrobinę odwagi. Tak, nadeszła pora, aby ZBURZYĆ MOSTY. Tymczasem zamiast skierować się ku dworcowi, szłam dalej avenue Ledru-Rollin. Przed zburzeniem mostów należało pójść do końca, nie wiedząc dobrze, co właściwie oznacza „do końca”. Nie było żadnych przechodniów, to normalne w niedzielny wieczór, jednakże w miarę jak posuwałam się naprzód, na ulicy robiło się coraz ciemniej, jakbym tego wieczoru nałożyła okulary przeciwsłoneczne. Zastanowiłam się, czy aby wzrok mi się nie pogarsza. Po lewej stronie ulicy płonął świetlny szyld apteki. Nie odrywałam od niego oczu ze strachu, że znajdę się w kompletnych ciemnościach. Dopóki płonął zielonym światłem, dopóty jeszcze mogłam się jakoś kierować. Miałam nadzieję, że będzie włączony, póki nie dotrę na jego wysokość. Do apteki pełniącej dyżur owej niedzieli przy avenue Ledru-Rollin. Było tak ciemno, że straciłam poczucie czasu i myślałam, że to już głęboka noc. Przez szybę widziałam brunetkę siedzącą za ladą. Ubrana była w biały fartuch, włosy upięła ciasno w kok, który kontrastował z jej łagodnymi rysami twarzy. Porządkowała stertę papierów i od czasu do czasu coś notowała długopisem Bic z zieloną skuwką. Czułam, że z pewnością w końcu zauważy, jak się jej przyglądam, lecz było to silniejsze ode mnie. Jej twarz tak się różniła od twarzy Ołżyśmierci, którą widziałam w metrze albo wyobrażałam sobie za drzwiami na czwartym piętrze... Niemożliwe, żeby tę twarz zniekształcił gniew, a usta się wykrzywiły, miotając stek przekleństw... Była taka spokojna, taka ujmująca w tym kojącym świetle, świetle ciepłym, takim, jakie znałam z wieczorów w Fossombronne-la-Forêt... Czy naprawdę znałam to światło? Pchnęłam przeszkłone drzwi. Zadzwonilo lekko,



krystalicznie. Podniosła głowę. Zbliżyłam się, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Źle się pani czuje?

Nie byłam w stanie wymówić słowa. I ciągle dusił mnie ten ciężar. Podeszła do mnie.

– Bardzo pani blada...

Wzięła mnie za rękę. Wystraszyłam ją pewnie. Czułam uścisk jej dłoni na swojej.

– Proszę usiąść tutaj...

Zaprowadziła mnie za ladę i dalej, do pomieszczenia, w którym stał stary skórzany fotel. Usiadłam w fotelu, a ona położyła mi dłoń na czole.

– Nie ma pani gorączki... ale ręce lodowate... Co się dzieje?

Od lat nigdy nic nikomu nie mówiłam. Wszystko zatrzymywałam dla siebie.

– To zbyt skomplikowane do wyjaśnienia – odparłam.

– Dlaczego? Nic nie jest skomplikowane...

Zalałam się łzami. Nie zdarzyło mi się to od śmierci psa. Dobre dwanaście lat wcześniej.

– Przeżyła pani ostatnio jakiś wstrząs? – spytała cicho.

– Zobaczyłam kogoś, kogo uważałam za zmarłego.

– Kogoś bardzo pani bliskiego?

– To nie ma większego znaczenia – zapewniłam ją, zmuszając się do uśmiechu. – Wszystko przez zmęczenie...

Podniosła się. Słyszałam, jak otwiera i zamyka szufladę tam, w aptece. Wciąż siedziałam w fotelu i wcale nie miałam ochoty z niego wstawać.

Wróciła na zaplecze. Zdjęła biały fartuch, teraz miała na sobie spódnicę i ciemnopopielaty sweter. Podawała mi szklankę wody, w której na dnie

pastylka barwy czerwonej rozpuszczała się, wydzielając bąbelki. Usiadła tuż przy mnie, na jednym z podłokietników fotela.

– Proszę zaczekać, aż się całkiem rozpuści.

Nie mogłam oderwać oczu od czerwonej musującej wody. Fosforyzowała.

– Co to? – zapytałam.

– Dobrze pani robi. – Znowu ujęła mnie za rękę. – Dalej ma pani takie zimne dłonie?

To, w jaki sposób wymówiła „zimne”, z naciskiem na to słowo, przypomniało mi naraz tytuł książki, którą Frédérique czytała mi po kilka stron wieczorami w Fossombronne, kiedy już leżałam w łóżku: *Dzieci zimna*.

Wypiłam duszkiem zawartość szklanki. Smakowało gorzko. Ale w dzieciństwie kosztowałam napoje znacznie bardziej gorzkie.

Poszła do apteki po taboret i ustawiła go tak, abym mogła położyć na nim nogi.

– Proszę się odprężyć. Myślę, że nie jest pani wygodnie.

Pomogła mi zdjąć płaszcz. Potem pociągnęła za suwak botków i delikatnie je ściągnęła. Po czym przysiadłszy na podłokietniku fotela, badała mi puls. W kontakcie z jej dłonią trzymającą mój nadgarstek doświadczałam poczucia bezpieczeństwa. Nie wykluczałam, że zasnę, i ta perspektywa wzbudzała we mnie kojącą błogość, taką samą, jakiej zaznałam, kiedy zakonnice mnie uspiły, każąc mi wdychać eter. Było to tuż przed okresem, gdy matka zabrała mnie do ogromnego mieszkania przy Lasku Bulońskim. Mieszkałam w szkolnym internacie i już nie pamiętam, dlaczego tamtego dnia czekałam na ulicy. Nikt nie przychodził po mnie. W końcu ruszyłam przez jezdnię i wtedy potrąciła mnie furgonetka. Skręciłam sobie kostkę. Ludzie położyli mnie w furgonetce pod budą

i zawieźli do jakiegoś domu nie bardzo daleko. Przeniesiono mnie na łóżko. Dokoła stały zakonnice, jedna schyliła się nade mną. Miała biały kornet i kazała mi wciągnąć do płuc eter.

– Mieszka pani w tej okolicy?

Wyjaśniłam, że mieszkam w rejonie place de Clichy i właśnie miałam wracać do domu metrem, kiedy źle się poczułam. Korciło mnie, aby jej opowiedzieć o swojej wizycie w Vincennes w bloku Ołżyśmierci, aby jednak to zrozumiała, musiałabym się cofnąć daleko w przeszłość, może aż do owego popołudnia, gdy czekam przed szkołą – chętnie bym się dowiedziała, gdzie ta szkoła dokładnie się znajdowała. Niedługo wszyscy rozchodzą się do domów, chodnik pustoszeje, drzwi szkoły zostają zamknięte. Wciąż czekam, ale nikt nie przychodzi po mnie. Dzięki eterowi przestałam czuć ból w kostce i zapadłam w sen. Jakiś rok, dwa lata później w jednej z łazienek w mieszkaniu przy Lasku Bulońskim natknęłam się na flakonik eteru. Fascynował mnie jego ciemnogrnatowy kolor. Ilekroć moją matkę dopadał kryzys, kiedy to nie chciała nikogo oglądać, a mnie prosiła, żebym jej przynosiła tacę z jedzeniem do pokoju lub masowała nogi w kostkach, zawsze wachałam flakonik, by dodać sobie odwagi. Naprawdę za dużo było do tłumaczenia. Wolałam tam, w tej aptece, posiedzieć w milczeniu z nogami wyciągniętymi na taborecie.

– Lepiej się pani czuje?

Nigdy nie spotkałam u nikogo tyle łagodności i stanowczości. Należałoby jej wszystko opowiedzieć. Czy moja matka na pewno umarła w Maroku? Ogarniały mnie wątpliwości, w miarę jak szperałam w puszcze po ciastkach. Niepokój wzbudzały we mnie zdjęcia. Szczególnie jedno moje, które matka kazała mi zrobić w zakładzie niedaleko Pól Elizejskich. Poprosiła o nie fotografa, u którego wcześniej miała sesję zdjęciową. Pamiętałam bardzo dokładnie tamto popołudnie. Byłam przy wszystkim od

początku. I na fotografii dostrzegałam akcesoria i szczegóły, które napiętnowały mnie, powiedziałabym, jak ROZPALONYM ŻELAZEM. Szeroką tiulową suknię matki dopasowaną w talii, obcisły aksamitny gorset i welon, który w białym świetle nadawał jej wygląd podrobionej wróżki. A ja w swojej sukience byłam ni mniej, ni więcej tylko podrabianym cudownym dziecięciem, biednym zwierzątkiem cyrkowym. Pudlem. Po tych wszystkich latach zrozumiałam, patrząc na te zdjęcia, że tak bardzo jej zależało, abym i ja zrobiła karierę tancerki, ponieważ pragnęła karmić się złudzeniami, iż sama może zacząć od zera. Jej się nie powiodło, lecz ja miałam zostać GWIAZDĄ. Czy naprawdę umarła? Groźba nie została zażegnana. Ale teraz miałam to szczęście, że byłam w towarzystwie kogoś, komu wszystko wytłumaczę. Nie będę musiała mówić. Pokażę jej zdjęcia.

Podniosłam się z fotela. Nadeszła chwila, aby jej powiedzieć, lecz nie miałam pojęcia, od czego zacząć.

– Jest pani pewna, że utrzyma się na nogach? – Ciągłe to baczne spojrzenie, spokojny głos. Wyszliśmy z zaplecza i byliśmy teraz w aptece. – Powinna pani iść do lekarza. Może ma pani lekką anemię. – Z uśmiechem patrzyła mi prosto w oczy. – Lekarz przepisze pani zastrzyki z witaminy B dwanaście... Ale nie wydam ich pani od razu. Żeby jeszcze pani do mnie przyszła...

Tkwiłam w miejscu przed nią. Próbowałam odwlec chwilę, gdy opuszczę aptekę i znajdę się sama.

– Jak pani wróci do domu?

– Metrem.

O tej porze w metrze panował tłok. Ludzie wracali do domu po seansie kinowym albo po spacerze na Wielkich Bulwarach. Już nie miałam w sobie odwagi na przejazd metrem do swojej dzielnicy. Bałam się tym razem, że definitywnie zabłądzę. Poza tym coś jeszcze mnie wstrzymywało: będę

musiała się przesiąść na inną linię na stacji Châtelet, a nie chciałam ryzykować, że znowu się natknę na żółty płaszcz. Wszystko teraz będzie się powtarzało w tych samych miejscach, o tych samych godzinach aż do końca. Dostałam się w stare tryby.

– Odprowadzę panią.

Ratowała mi życie. W samą porę.

Zgasiła światła w aptece i zamknęła drzwi na klucz. Szydł nadal się palił. Szliśmy obok siebie, a ja taka byłam do tego nienawykła, że nie dowierzałam i w każdej chwili bałam się przebudzenia w swoim pokoju. Wsunęła dłonie do kieszeni futra. Miałam ochotę wziąć ją pod rękę. Była wyższa ode mnie.

– O czym pani myśli? – zagadnęła.

I ona wzięła mnie pod rękę.

Dotarliśmy do skrzyżowania, przez które przeszłam niedawno, i podążaliśmy dalej ulicą, na której końcu widziałam Dworzec Lyoński i zegar.

– Myślę, że jest pani zbyt miła i traci przeze mnie czas.

Odwróciła głowę do mnie. Kołnierz futra musnął jej policzek.

– Ależ skąd, wcale nie tracę czasu przez panią. – Zawahała się chwilę, po czym rzekła: – Zastanawiałam się, czy ma pani rodziców.

Odparłam, że mam matkę, która mieszka na przedmieściu.

– A ojciec?

Ojciec? On również być może był gdzieś na przedmieściu albo w Paryżu, albo gdzieś daleko w świecie. Albo od dawna nie żył.

– Mój ojciec był nieznany.

To powiedziałam swobodnym tonem z obawy, że wprawię ją w zakłopotanie. Poza tym nie przywykłam do zwierzeń.

Milczała. Wstrząsnęły nią te wszystkie smutne, szare rzeczy. Szukałam jakiegoś weselszego szczegółu, jasnej nuty.

– Na szczęście wychowywał mnie wujek, który bardzo mnie lubił.

I nie było to zupełne kłamstwo. Przez rok czy dwa ten Jean Borand zajmował się mną w każdy czwartek. Kiedyś zabrał mnie na jarmark wielkanocny niedaleko od siebie. Wujek? W sumie może był moim ojcem. Matka zacierała ślady i tak dobrze upiększała prawdę w epoce mieszkania przy Lasku Bulońskim... Powiedziała mi kiedyś, że nie lubi „rzeczy wulgarnych”, choć nie rozumiałam, co ma na myśli. W czasach, gdy zajmowałyśmy ogromne mieszkanie, nie nazywała się już Suzanne Cardères. Była hrabiną Sonią O’Dauyé.

– Nie chcę pani zanudzać rodzinnymi historiami.

Wciąż trzymała mnie pod rękę. Doszliśmy już do Dworca Lyońskiego, w pobliże stacji metra. No to koniec. Zostawi mnie przy schodach.

– Odwiozę panią taksówką.

Ciągnęła mnie na dworzec. Byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, jak jej podziękować. Wzdłuż chodnika stał sznur taksówek. Kierowca czekał, żeby mu podać adres. W końcu powiedziałam:

– Place Blanche.

Zapytała, czy dawno mieszkam w tej dzielnicy. Nie, kilka miesięcy. W pokoju przy wąskiej uliczce. W dawnym hotelu. Czynnosc nie jest wygórowany. No i znalazłam pracę... Taksówka jechała ulicami pustymi w niedzielny wieczór.

– Ale ma pani jakichś znajomych?

W Trois Quartiers jedna koleżanka, Muriel, przedstawiła mi parę osób, z którymi wychodziła w sobotnie wieczory. Przez jakiś czas należałam do paczki. Chodzili do restauracji i do dyskotek. Sprzedawczynie, faceci, którzy zaczynali pracować na giełdzie, u jubilerów albo dilerów

samochodowych. Kierownicy działów. Jeden wydawał mi się ciekawszy niż inni i umówiłam się z nim sama. Zaprosił mnie do restauracji i do Studia 28, kina na Montmartrze, na stare filmy amerykańskie. Pewnej nocy po wyjściu z kina zaprowadził mnie do hotelu niedaleko Châtelet i pozwoliłam mu zrobić, co chciał. Po wszystkich tych ludziach i wypadach pozostało mi jedynie mgliste wspomnienie. Tamto wszystko nie liczyło się dla mnie. Zapomniałam nawet imię tego faceta. Pamiętałam tylko nazwisko: Wurlitzer.

– Nie mam dużo znajomych – odparłam.

– Nie można tak żyć w samotności. Przecież nie poradzi sobie pani z czarnymi myślami...

Odwróciła głowę w moją stronę i patrzyła z uśmiechem, w którym było coś przewrotnego. Nie śmiałam zapytać, ile ma lat. Może była o dziesięć albo piętnaście lat starsza ode mnie, może była w wieku mojej matki z czasów ogromnego mieszkania i dwóch fotografii, jej i mojej. Swoją drogą, co za głupi pomysł, żeby pojechać do Maroka i tam umrzeć. „Nie była złą kobietą – powiedziała mi Frédérique pewnego wieczoru, gdy rozmawialiśmy o mojej matce. – Po prostu nie miała szczęścia...” Przyjechała do Paryża jako paroletnie dziecko, żeby uczyć się tańca klasycznego w szkole przy Operze. Wyłącznie to ją interesowało. Potem miała wypadek „z kostkami” i nie mogła już tańczyć. W wieku dwudziestu lat była tancerką, lecz w jakichś szemranych rewiach, u Ferrariego, w Préludes, Moulin-Bleu, wszystkie te nazwy w czasie rozmów padały z ust brunetki, która nie lubiła mojej matki i także pracowała w tych lokalach. „Widzisz – powiedziała mi Frédérique – przez te kostki było z nią jak z koniem wyścigowym, który się okaleczył i prowadzą go do rzeźni”.

Farmaceutka nachyliła się do mnie i powiedziała: „Niech pani spróbuje pozbyć się smętku. Proszę zamknąć oczy i pomyśleć o przyjemnych

rzeczach”. Dojechaliśmy do rue de Rivoli, jeszcze przed Luwrem, i taksówka czekała na czerwonym świetle, chociaż nie było żadnego pieszego, żadnego innego auta. Po prawej palił się neonowy szyld klubu jazzowego odcinający się od czarnych fasad budynków. Ale z powodu wygaszonych kilku liter nie dało się przeczytać jego nazwy. W pewien niedzielny wieczór znalazłam się tu wraz z innymi w lokalu, w którym grała staroświecka orkiestra. Gdyby nas wtedy nie było, sądzę, że nie miałyby kto jej słuchać. Koło północy, kiedy wyszłam z lokalu w towarzystwie tego faceta nazwiskiem Wurlitzer, chyba odczułam w pełni swoją samotność. Na pustej rue de Rivoli, w styczniowym chłodzie... Zaproponował, żebyśmy poszli do hotelu. Już ten hotel znałam, znałam jego strome schody i zapach stęchlizny. Pomyślałam, że w tego rodzaju hotelu musiała lądować moja matka w tym wieku co ja, w takie same niedzielne wieczory, kiedy nazywała się Suzanne Cardères. I nie widziałam powodu, aby wszystko raz jeszcze się powtarzało. Wtedy uciekłam. Biegłam pod arkadami.

\*

Poprosiłam taksówkarza, żeby się zatrzymał przy bulwarze Clichy na rogu ulicy. Nadeszła chwila rozstania. Powiedziałam do farmaceutki:

– Bardzo dziękuję, że mnie pani odwiozła.

Szukałam jakiegoś pretekstu, aby ją zatrzymać. Ostatecznie wcale nie było jeszcze tak późno. Mogłyśmy pójść na kolację do kawiarni na place Blanche. Inicjatywę jednak przejęła ona.

– Chętnie bym zobaczyła, jak pani mieszka – rzekła.

Wysiadłyśmy z taksówki i gdy wchodziłyśmy w uliczkę, ogarnęło mnie osobliwe uczucie lekkości. Po raz pierwszy szłam tą drogą z kimś. Kiedy nocą wracałam sama, dotarwszy do rogu rue Coustou, odnosiłam naraz



wrażenie, że opuszczam terazniejszość i wślizguję się w strefę, gdzie czas się zatrzymał. I bałam się zawsze, że nie przekroczę więcej granicy w kierunku przeciwnym, nie znajdę się już nigdy na place Blanche, tam, gdzie życie toczyło się dalej. Mówiłam sobie, że na zawsze zostanę więźniem tej uliczki i pokoju w dawnym hotelu, że będę jak Śpiąca Królewna. Tej nocy jednak ktoś mi towarzyszył, a dookoła rozpościerały się tylko niegroźne tekturowe dekoracje. Szłyśmy chodnikiem po prawej. Teraz ja trzymałam ją pod rękę. Nie wydawała się ani trochę zaskoczona, że znalazła się tam ze mną. Podążałyśmy wzdłuż frontu dużego gmachu na początku ulicy, potem mijałyśmy knajpę, której sień spowijał półmrok. Podniosła głowę, by spojrzeć na szyld złożony z czarnych liter: Le Néant.

– Była tu pani kiedyś?

Odpowiedziałam, że nie.

– Nie wygląda za wesoło.

Przechodząc o tej porze przed Le Néant, bałam się, że zostanę wciągnięta, a raczej wessana przez sień, jakby prawa grawitacji w niej nie obowiązywały. Zabobonnie często szłam chodnikiem po drugiej stronie. Tydzień wcześniej śniło mi się, że weszłam do Le Néant. Znalazłam się w ciemnościach. Zapalał się reflektor i jego zimne białe światło padało na niedużą scenę oraz salkę, w której siedziałam przy okrągłym stoliku. Przy innych stolikach widniały nieruchome sylwetki mężczyzn i kobiet – wiedziałam, że to nie są żywi ludzie. Przebudziłam się nagle. Chyba z krzykiem.

Doszłyśmy do numeru 11 przy rue Coustou.

– Zobacz pani... to żadne luksusy. I obawiam się, że zostawiłam w pokoju bałagan.

– To nie ma znaczenia.

Ktoś mnie chronił. Już się nie wstydziłam ani nie bałam niczego. Weszłam pierwsza na schody i w korytarz, lecz nie poczyniła żadnej uwagi. Podążała za mną z obojętną miną, jakby znała drogę.

Otworzyłam drzwi, zapaliłam lampę. Na szczęście łóżko było posłane, a ubrania poskładane w szafie. Tylko płaszcz wisiał na klamce okna.

Podeszła do okna. Tym swoim niezmiennie spokojnym głosem powiedziała:

– Ulica nie jest zbyt hałaśliwa?

– Nie, ani trochę.

W dole znajdował się róg rue Puget, króciutkiej uliczki, którą często szłam na skróty do place Blanche. Mieścił się przy niej bar Canter z frontem z żółtych desek. Kiedyś późnym wieczorem wstąpiłam tam po papierosy. Dwaj bruneci z kobietą jedli przy barze. Przy stoliku w głębi jacyś ludzie grali w karty w bardzo ciężkiej ciszy. Powiedziano mi, że muszę coś zamówić, jeśli chcę kupić paczkę papierosów, i jeden z brunetów zamówił dla mnie szklaneczkę czystej whisky, którą wychyliłam jednym haustem, aby szybciej mieć to za sobą. Zapytał, czy „mieszkam z rodzicami”. Naprawdę w tej knajpie panowały dziwne obyczaje.

Przykleiła czoło do szyby. Ostrzegłam, że widok nie jest zbyt piękny. Zauważyła, że nie ma okiennic ani zasłon. Nie przeszkadza mi to spać? Zapewniłam ją, że nie. Nie potrzebowałam zasłon. Jedyne, co na pewno by mi się przydało, to fotel albo chociaż krzesło. Ale dotąd nikt mnie w tym pokoju nie odwiedził.

Usiadła na łóżku. Interesowało ją, czy czuję się lepiej. O tak, naprawdę dużo lepiej, odkąd zobaczyłam z daleka świetlny szyld apteki. Gdyby nie ten punkt zaczepienia, nie wiem, co by ze mną było.

Chętnie bym jej zaproponowała wspólną kolację w kawiarni przy place Blanche. Ale nie miałam dość pieniędzy, by ją zaprosić. Niedługo odejdzie,

a ja zostanę sama w tym pokoju. Wydawało mi się to jeszcze trudniejsze do zniesienia niż chwilę wcześniej w taksówce, gdy spodziewałam się, że pozwoli mi wysiąść.

– A jak w pracy? Idzie jakoś?

Może się łudziłam, lecz ona chyba naprawdę martwiła się o mnie.

– Pracuję z przyjacielem – wyjaśniłam. – Tłumaczymy audycje radiowe nadawane przez zagraniczne stacje.

Jak by zareagował Moreau-Badmajew, gdyby usłyszał to kłamstwo? Nie miałam jednak ochoty mówić o Agencji Taylor, Vérze Valadier ani o jej mężu, ani o małej.

– Zna pani dużo języków?

Czytałam w jej oczach niejaki szacunek. Bardzo bym chciała, żeby to nie było kłamstwo.

– Języki dobrze zna mój przyjaciel. Ja jeszcze studiuje w Szkole Języków Wschodnich.

Studentka. Słowo to zawsze robiło na mnie wrażenie, a status ów zdawał mi się nieosiągalny. Sądzę, że Szwabka nie miała nawet świadectwa ukończenia szkoły. Robiła błędy ortograficzne, aczkolwiek nie bardzo były widoczne z powodu jej dużego pisma. A ja zakończyłam naukę w wieku czternastu lat.

– A więc jest pani studentką?

Wydawała się uspokojona. Chciałam ją jeszcze bardziej uspokoić. Dodałam:

– Wujek mi poradził, żebym się zapisała do Szkoły Języków Wschodnich. Jest nauczycielem.

I wyobrażałam sobie mieszkanie w dzielnicy studenckiej, którą słabo znałam i umiejscawiałam w okolicy Panteonu. A wujka widziałam w gabinecie pochylonego nad starą księgą, na którą padało światło lampki.

– Czego uczy?

Uśmiechała się. Naprawdę dała się nabrać na to kłamstwo?

– Filozofii.

Pomyślałam o człowieku, z którym spotykałam się we czwartki w czasach ogromnego mieszkania, o swoim wujku – takim mianem go nazywano – o rzeczonym Jeanie Borandzie. Zabawialiśmy się nasłuchiowaniem ech naszych głosów w wielkim pustym warsztacie. Był młody i mówił z paryskim akcentem. Zabrał mnie na *Rozstaje łuczników*. Zabrał mnie także na jarmark wielkanocny niedaleko warsztatu. Zawsze nosił szpilkę w krawacie, a na prawym nadgarstku bransoletkę w kształcie łańcuszka, jak powiedział – prezent od mojej matki. Mówił na nią „Suzanne”. Nie zrozumiałby, dlaczego powiedziałam, że jest nauczycielem filozofii. Po co kłamać? Zwłaszcza kobiecie, która wydawała się tak dobrze do mnie nastawiona.

– Pójdę już, proszę się położyć...

– Nie może pani zostać na tę noc ze mną?

Jakby ktoś powiedział to za mnie. Naprawdę byłam zdziwiona swoją śmiałością. I zawstydzona. Nawet nie mrugnęła.

– Boi się pani zostać sama?

Siedziała na łóżku obok mnie. Patrzyła mi prosto w oczy i jej spojrzenie, w przeciwieństwie do wzroku mojej matki na obrazie Toli Sungurowa, było łagodne.

– Zostanę, jeśli moja obecność panią uspokoi...

I zwyczajnym gestem ze znużeniem ściągnęła buty. Można by rzec, że tę samą czynność wykonywała co wieczór o tej samej porze w tym pokoju. Nie zdejmując futra, położyła się na łóżku. Siedziałam bez ruchu na jego brzegu.

– Powinna pani zrobić to samo. Potrzebuje pani snu.

Wyciągnęłam się obok niej. Nie wiedziałam, co powiedzieć, a raczej bałam się, że najkrótsze choćby słowo zabrzmiałoby fałszywie, wtedy ona się rozmyśli, wstanie i wyjdzie z pokoju. Ona także milczała. Usłyszałam z bardzo bliska muzykę zdającą się dochodzić z dołu, sprzed budynku. Ktoś uderzał w instrument perkusyjny. Powstawały dźwięki jasne, rzewne, jak muzyka tła.

– Myśli pani, że to z Le Néant? – zapytała. I wybuchnęła śmiechem.

Wszystko, co mnie przerażało i niepokoiło, i kazało mi wierzyć, że od dzieciństwa nie odstępuję mnie zły los, wszystko to naraz wydało mi się skasowane. Muzyk z cieniutkim wypomadowanym wąsikiem uderzał pałeczkami w ksylofon. I wyobrażałam sobie scenę w Le Néant oświetloną białym blaskiem reflektora. Człowiek w stroju stangreta trząsał z bata i obwieszczał głuchym głosem:

– A teraz, panie i panowie, powitajmy Ołżyśmierć!

Światło przygasało. Po czym naraz w ogniu reflektora pojawiała się kobieta w żółtym płaszczu, taka, jaką zobaczyłam kiedyś w metrze. Szła wolnym krokiem na przód sceny. Człowiek z wypomadowanym wąsikiem nadal uderzał w instrument pałeczkami. Pozdrawiała publiczność uniesieniem ręki. Tyle że nie było żadnej publiczności. Jedyne przy okrągłych stolikach kilka nieruchomych zabalsamowanych osób.

– Tak – odparłam. – Muzyka dochodzi pewnie z Le Néant.

Zapytała, czy może zgasić lampkę, która była po jej stronie na stoliku nocnym.

Neonowy szyld warsztatu rzucał na ścianę nad nami zwykłe refleksy. Zaczęłam kaszleć. Przysunęła się do mnie. Oparłam głowę na jej ramieniu. Pod mięciutkim dotykiem futra strach i złe myśli odpływały z wolna. Perełka, Ołżyśmierć, Szwabka, żółty płaszcz... Wszystkie te żalosne akcesoria należały teraz do życia kogoś innego. Zrzuciłam je jak zbyt ciężki

kostium i ryszturnek, które zbyt długo pod przymusem nosiłam i które zapierały mi dech. Poczułam jej wargi na czole.

– Nie podoba mi się pani kaszel – powiedziała cicho. – Musiała się pani przeziębć w tym pokoju.

Miała słuszość. Zima była tuż-tuż, a nie włączono jeszcze centralnego ogrzewania.

Wyszła bardzo wczesnym rankiem. Ja zaś tego dnia miałam jechać do Neuilly, by zająć się małą. Zadzwoiłam około trzeciej po południu do domu Valadierów. Otworzyła mi Véra Valadier. Wydawała się zdziwiona moim widokiem. Jakbym ją przebudziła, tak że ubrała się w pośpiechu.

– Nie wiedziałam, że w czwartek też pani przyjdzie.

A kiedy zapytałam, czy mała jest w domu, odparła „nie”. Jeszcze nie wróciła ze szkoły. A przecież był czwartek, tego dnia w szkole nie odbywały się lekcje. Wytłumaczyła mi jednak, że w czwartki dzieci z internatu bawią się całe popołudnie na podwórzu szkolnym i mała jest z nimi. Już wcześniej zauważyłam, że Véra Valadier nigdy nie nazywa jej po imieniu, podobnie jak pan Valadier. Obydwoje mówili o niej „ona”. A kiedy przyzywali córeczkę, wołali po prostu: Gdzie jesteś? Co robisz? Ale nigdy jej imię nie przeszło im przez usta. Po tylu latach ja także nie potrafiłabym powiedzieć, jak było jej na imię. Zapomniałam, a wręcz się zastanawiam, czy je w ogóle poznałam.

Wprowadziła mnie do pomieszczenia na parterze, w którym pan Valadier zwykł rozmawiać przez telefon, siedząc na rogu biurka. Dlaczego w dzień wolny od nauki zostawiła córkę w szkole z dziećmi z internatu? Nie zdołałam się pohamować i zapytałam o to.

– Ależ ona bardzo lubi tak spędzać czwartkowe popołudnia...

Niegdyś moja matka również wygłaszała frazes w tym stylu i zawsze w okolicznościach, gdy byłam w takiej rozpacz, że miałam ochotę powąchać flakonik z eterem.

– Może pani po nią iść później. A jeśli pani nie pójdzie, będzie zadowolona, że wróci sama... Pozwoli pani, że ją przeproszę na chwilę?

Jej głos i rysy twarzy świadczyły o jakimś popłochu. Wyszła bardzo szybko, zostawiając mnie w pokoju, w którym nie było niczego do siedzenia. Korciło mnie, by usiąść jak pan Valadier na rogu biurka. Masywnego biurka z jasnego drewna, z dwiema szufladami po każdej stronie i z blatem pokrytym skórą. Nie leżał na nim ani jeden ołówek, ani jedna kartka papieru. Stał tylko telefon. Być może pan Valadier chował papiery do szuflad. Nie zdołałam poskromić ciekawości i otworzyłam i zamknęłam wszystkie szuflady po kolei. Były puste, w jednej tylko na dnie poniewierało się kilka wizytówek z nazwiskiem Michel Valadier, lecz adres był inny niż domu w Neuilly.

Od schodów dobiegały odgłosy sprzeczki. Rozpoznałam głos pani Valadier i zaskoczyło mnie, że z jej ust padają słowa dość wulgarne, acz chwilami głos miała płaczliwy. Odpowiadał jej męski głos. Stanęli w drzwiach. Głos pani Valadier zniżył się mocno. Teraz rozmawiali bardzo cicho w przedpokoju. Potem drzwi wejściowe trzasnęły i widziałam przez okno oddalającego się młodego bruneta dość niskiego wzrostu, w zamszowej kurtce, z fularem. Wróciła do gabinetu.

– Przepraszam, że zostawiłam panią samą...

Podeszła bliżej i po oczach poznałam, że chce mnie o coś zapytać.

– Mogłaby mi pani pomóc uporządkować tam trochę?

Poprowadziła mnie ku schodom, ruszyłam za nią na piętro. Weszliśmy do dużego pokoju, w którym w głębi stało bardzo szerokie niziutkie łóże. Jedyne zresztą mebel w pokoju. Pościel na łóżu była skotłowana, na stoliku nocnym stała taca z dwiema lampkami i otwartą butelką szampana. Korek rzucał się w oczy na środku szarej wykładziny. Odgarnięta kołdra zwisała z łóżka aż do podłogi. Prześcieradła były wygniecione, poduszki porozrzucane na łóżku, na którym poniewierał się także ciemnoniebieski



męski jedwabny szlafrok, damska kombinacja i pończochy. Na podłodze stała popielniczka pełna niedopałków.

Pani Valadier podeszła do okna, aby je otworzyć. W pokoju unosił się lekko mdlący zapach, mieszanka perfum i jasnego tytoniu, woń ludzi, którzy długo przebywali w jednym pomieszczeniu w tym samym łóżku.

Wzięła z łóżka ciemnoniebieski szlafrok i powiedziała:

– Muszę go odwiesić do szafy męża.

Kiedy wróciła, zapytała, czy zechce jej pomóc posłać łóżko. Ruchy miała szybkie, gwałtowne przy naciąganiu prześcieradła i wyrównywaniu kołdry, jakby się bała, że ktoś ją zaskoczy, ja zaś z trudem nadążałam za jej tempem. Kombinację i pończochy schowała pod poduszkę. Skończyłyśmy układać narzutę i wtedy jej wzrok spoczął na tacy.

– Och... zapomniałam...

Wzięła butelkę z szampanem i obydwie lampki i odsunęła drzwi wbudowanej szafy, w której stały rzędy butów. W życiu nie widziałam tylu par: sandałki w różnych kolorach, baleriny, botki... Ustawiła butelkę i dwie lampki w głębi górnej półki i zamknęła szafę. Zachowywała się jak ktoś, kto przed przybyciem policji w pośpiechu chowa rzeczy kompromitujące. Pozostała jeszcze popielniczka i korek od butelki szampana. Ja podniosłam jedno i drugie. Brała je ode mnie z rąk i wchodziła do łazienki, której drzwi były otwarte. Rozległ się szum spuszczonej wody.

Wpatrywała się we mnie dziwnym wzrokiem. Chciała mi coś powiedzieć, lecz nie zdążyła. Przez otwarte okna doleciał coraz głośniejszy warkot diesla. Wychyliła się przez jedno. Stałam tuż za nią. Na dole pan Valadier wysiadał z taksówki. Niósł torbę podróżną i czarną skórzaną teczkę.

Kiedy zeszyliśmy do niego, już telefonował, siedząc na biurku, i powitał nas gestem. Potem odłożył słuchawkę. Pani Valadier spytała, czy miał

udaną podróż.

– Taką sobie, Véro.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

– Ale jednak się upewniłeś?

– Ogólnie tak, choć jeszcze parę drobiazgów mi nie gra. – Obejrzał się na mnie z uśmiechem. – Nie ma dzisiaj lekcji?

Mówił o swej córce, lecz wydawało mi się, że w zasadzie ona go nie interesuje, a spytał wyłącznie przez wzgląd na mnie.

– Zostawiłam ją w szkole z dziećmi z internatu – powiedziała pani Valadier.

Pan Valadier zdjął granatowy płaszcz i położył go na torbie postawionej koło biurka. Żona go poinformowała, że chce odebrać małą ze szkoły.

– Wie pani, równie dobrze może wrócić sama...

Głos miał łagodny, wciąż się uśmiechał. W sumie podejście miał takie jak żona.

– Coś musimy pani powiedzieć w związku z naszą córką – odezwała się pani Valadier. – Otóż chciałaby mieć psa.

Pan Valadier wciąż siedział na rogu biurka. Jedną nogą kołysał miarowo. Na czym siadają ludzie, których przyjmuje w tym gabinecie? Może rozstawia dla nich krzeselka turystyczne? Odnosiłam jednak wrażenie, że tutaj nikt nigdy nie przychodzi.

– Należałoby jej wytłumaczyć, że to niemożliwe – ciągnęła Véra Valadier. Zdawała się przerażona perspektywą wprowadzenia psa do tego domu. – Wytłumaczy jej pani jeszcze dzisiaj?

Wzrok miała taki niespokojny, że nie mogłam odmówić.

– Tak, madame – odparłam.

Uśmiechnęła się. Wyraźnie zdjęłam z niej ogromny ciężar.

– Już prosiłam, żeby mi pani nie mówiła „madame”, tylko Véra. – Stała obok męża oparta o biurko. – W ogóle dużo prościej by było, gdyby zwracała się pani do nas Véra i Michel.

Jej mąż także się uśmiechał. Miałam ich tam przed sobą, oboje byli jeszcze dość młodzi, o niezmaconych twarzach.

Dla mnie zły los i złe wspomnienia sprowadzały się do jednej tylko twarzy – twarzy mojej matki. Mała musiała stawiać czoło tym dwojgu dorosłym obnoszącym uśmiech i niezmacone oblicze, jakie ze zdziwieniem widzujemy nieraz u przestępców, którzy zbyt długo pozostawali bezkarni.

Pan Valadier wyjął z kieszonki marynarki krótkie cygaro, które zapalił zapalniczką. Wciągnął dym do ust i wydmuchiwał go w zamyśleniu. Zwrócił się do mnie:

– Liczę na panią w związku z tym psem.

\*

Od razu zobaczyłam małą. Siedziała na ławce i czytała kolorowe pisemko. Wokół ze dwadzieścia starszych dziewczynek kręciło się po szkolnym podwórku. Mieszkanki internatu. W ogóle nie zwracała na nie uwagi, jakby cały dzień tak czekała, nie wiedząc, dlaczego się tu znajduje. Wydała się zdziwiona, że przyszłam po nią tak wcześnie.

Szłyśmy rue de la Ferme.

– Nie musimy zaraz wracać do domu – powiedziała.

Dotarłyśmy do końca ulicy i zagłębiałyśmy się w tę część Lasku Bulońskiego, gdzie rosną sosny. Dziwnie było iść późnym listopadowym popołudniem między drzewami, które kojarzą się z latem i morzem. Ja także, będąc w tym wieku co ona, nie chciałam wracać do domu. Czy jednak można nazwać domem to gigantyczne mieszkanie, w którym znalazłam się z matką, nie rozumiejąc, dlaczego je zajmuje? Kiedy

pierwszy raz mnie tam zabrała, sądziłam, że jesteśmy u jej znajomych, i zdziwiłam się wieczorem, że we dwie tam zostajemy – „Pokażę ci twój pokój”, oznajmiła. A kiedy przyszła pora iść do łóżka, nie czułam się zbyt pewnie. Leżąc w wielkim pustym pokoju na zbyt szerokim łóżku, spodziewałam się, że ktoś wejdzie i zapyta, co tu robię. Tak, tak, jakbym przeczuła, że moja matka i ja w gruncie rzeczy nie mamy prawa zajmować tego lokalu.

– Dawno mieszkasz w tym domu? – spytałam małą.

Była w nim już na początku roku. Ale nie bardzo pamiętała, gdzie mieszkała przedtem. Gdy po raz pierwszy zjawiłam się u Valadierów, uderzyło mnie, że wszystkie pokoje są puste, co przywiodło mi na myśl tamto mieszkanie, które zajmowałam z matką, będąc w wieku małej. Pamiętałam, że w kuchni do ściany przymocowany był obrazek, na którym widniały znaki świetlne i białe tabliczki z czarnymi napisami: JADALNIA. GABINET. WEJŚCIE. SALON... I był też napis: POKÓJ DZIECI. Co to mogły być za dzieci? Spodziewałam się, że lada chwila wrócą i spytają mnie, co robię w ich pokoju.

Zapadał wieczór, a mała pragnęła opóźnić porę powrotu. Oddaliśmy się od domu jej rodziców, choć czy to naprawdę był ich dom? Po dwunastu latach kto jeszcze wiedział na przykład, że moja matka także mieszkała przy Lasku, na avenue de Malakoff? Tamto mieszkanie nie było nasze. Zrozumiałam później, że moja matka zajmowała je pod nieobecność właściciela. Frédérique rozmawiała o tym z jedną z przyjaciółek pewnego wieczoru przy kolacji w Fossombronne, a ja siedziałam przy stole. Dzieci znakomicie zapamiętują pewne słowa i choć w danej chwili ich nie rozumieją, dwadzieścia lat później sens dociera do nich. To trochę jak z granatami, na które kazano nam uważać w Fossombronne. Podobno jeden

czy dwa były zakopane na Szwabskiej Łączce jeszcze od wojny i po takim czasie wciąż groziły wybuchem.

Dodatkowy powód, żeby się bać. Ale nie mogliśmy się powstrzymać, żeby ukradkiem nie chodzić na ten ugór i bawić się tam w chowanego. Frédérique wybrała się do tamtego mieszkania, aby spróbować odzyskać coś, co moja matka zapomniała zabrać, wyjeżdżając.

Doszliśmy na brzeg niedużego stawu, po którym w zimie ludzie jeździli na łyżwach. Piękny zachód słońca. Drzewa odcinały się na błękitno-różowym niebie.

– Podobno chcesz psa.

Była zakłopotana, jakbym odkryła jej sekret.

– Twoi rodzice mi powiedzieli.

Zmarszczyła brwi i ściągnęła buzię w ciup. Po czym naraz rzekła:

– A oni nie chcą psa.

– Spróbuję z nimi pogadać. W końcu zrozumieją.

Uśmiechnęła się do mnie. Wyraźnie miała do mnie zaufanie. Wierzyła, że zdołam przekonać Véré i Michela Valadierów. Ja jednak nie żywiłam złudzeń. Ci dwoje byli równie zawzięci jak Szwabka. Wyczułam to od samego początku. Po Vérze widać było od razu. Używała fałszywego imienia. On też moim zdaniem nie nazywał się Michel Valadier. Musiał się już wcześniej posługiwać kilkoma nazwiskami. Zresztą na wizytówce widniał inny adres niż obecny. Zastanawiałam się, czy nie jest jeszcze podstępniejszy i groźniejszy niż jego żona.

Należało już wracać, a ja żałowałam, że złożyłam jej fałszywą obietnicę. Szliśmy ścieżkami jezdzieckimi w kierunku ogrodu botanicznego. Byłam pewna, że Véra i Michel Valadierowie pozostaną niewzruszeni.

Drzwi otworzył nam on. Natychmiast jednak, nie odzywając się ani słowem, wrócił do gabinetu na parterze. Pani Valadier – Véra – wrzeszczała, lecz nie rozumiałam, co krzyczy. Ich głosy mieszały się ze sobą, każde chciało zagłuszyć to drugie. Dziewczynka oczy miała szeroko rozwarte. Bała się, ale domyślałam się, że przywykła do tego strachu. Stała bez ruchu zdrętwiała w przedpokoju. Musiałam ją stamtąd zabrać. Tylko gdzie? Potem pani Valadier wyszła z gabinetu zupełnie spokojna i spytała nas:

– Spacer się udał?

Znowu przypominała zimną tajemniczą blondynkę z tych, które przewijają się przez stare filmy amerykańskie. Wyszedł także pan Valadier. Również bardzo spokojny. Miał na sobie elegancki czarny garnitur, a na jednym policzku podłużne rany, bez wątplenia ślady po paznokciach. Véry Valadier? Nosila je dość długie. Trzymały się jeden przy drugim na framudze drzwi, miały niezmacone oblicza morderców, którzy z braku dowodów zbyt długo pozostawali bezkarni. Można by rzec, że pozowały, ale nie do zdjęcia antropometrycznego, tylko do takiego, jakie się robi na początku przyjęcia, w miarę jak schodzą się zaproszeni goście.

– Czy pani ci wytłumaczyła wszystko w związku z psem? – zapytała Véra Valadier chłodnym tonem, jakiego nie używało się na rue de Douai, gdzie jak mi powiedziała, przyszła na świat. Z innym imieniem. – Pieski są milutkie... ale bardzo brudzą.

A Michel Valadier takim samym tonem jak żona dodał:

– Twoja mama słusznie mówi... Naprawdę niedobrze by było trzymać psa w domu.

– Jak dorośniesz, będziesz mogła wziąć sobie tyle psów, ile zechcesz... Ale nie tutaj i nie teraz.

Głos Véry Valadier wyraźnie się zmienił. Pobrzmiwało w nim coś w rodzaju goryczy. Być może myślała o nieodległym czasie – lata mijają tak szybko – kiedy jej córka dorośnie, a ona, Véra, już zawsze będzie nawiedzała tunele metra w żółtym płaszczu.

Mała nic się nie odzywała. Tylko patrzyła szeroko rozwartymi oczami.

– Od psów można się zarazić różnymi chorobami, rozumiesz... – powiedział pan Valadier. – Poza tym psy gryzą.

Wzrok miał teraz spłoszony i mówił dziwnie, jak handlujący na czarno przekupień, który z daleka zauważył nadchodzącą policję.

Trudno mi było wytrwać w milczeniu. Chętnie bym wzięła małą w obronę, lecz nie chciałam, by rozmowa się zaogniła i jeszcze bardziej ją wystraszyła. Niemniej nie zdołałam się pohamować i patrząc w oczy Michelowi Valadierowi, spytałam:

– Boli, monsieur? – I przesunęłam palcem po swoim policzku w miejscu, gdzie miał te długie zadrapania.

Wyjąkał:

– Nie... Dlaczego?

– Powinien pan zdezynfekować. To jak ugryzienie psa. Można dostać wścieklizny.

Tym razem widziałam wyraźnie, że traci grunt pod nogami. Véra Valadier także. Przyglądali mi się nieufnie. W zbyt jasnym świetle żyrandola byli teraz jedynie podejrzaną pogubioną parą, którą schwytano w sidła.

– Zdaje się, że jesteśmy spóźnieni – rzekła, odwracając się do męża.

Już odzyskała chłodny głos. Michel Valadier, spoglądając na zegarek z bransoletą, takim samym pozornie obojętnym tonem rzekł:

– Tak, trzeba iść...

Powiedziała do małej:

– W lodówce masz plaster szynki. Sądzę, że wrócimy dzisiaj późno.

Mała przysunęła się i teraz trzymała mnie za rękę, ściskając mocno jak osoba, która pragnie, aby poprowadzić ją w ciemnościach.

– Lepiej niech pani już idzie – zwróciła się do mnie Véra Valadier. – Ona musi przywyknąć do samotności. – Wzięła córkę za rękę i ciągnęła do siebie. – Pani musi już iść. Zjesz kolację i położysz się spać.

Mała znowu patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczami, które sprawiały wrażenie, że nic ich już nie może zadziwić. Michel Valadier podszedł do nich, tak że stała teraz bez ruchu między rodzicami.

– Do jutra – rzekłam do niej.

– Do jutra.

Ale minę miała taką, jakby nie bardzo w to wierzyła.

\*

Na dworze usiadłam na ławce przy ulicy biegnącej wzdłuż ogrodu botanicznego. Nie wiedziałam, na co tam czekam. Po chwili zobaczyłam państwa Valadier wychodzących z domu. Ona miała na sobie futro, on granatowy płaszcz. Szli w pewnej odległości od siebie. Kiedy znaleźli się przy samochodzie, ona wsiadła z tyłu, on zaś usadowił się za kierownicą, jakby był jej szoferem. Auto zniknęło, kierując się ku avenue de Madrid, a ja pomyślałam, że nigdy niczego się nie dowiem o tych ludziach, nie poznam ich prawdziwych imion ani prawdziwych nazwisk, ani powodu niepokoju, który pojawiał się niekiedy przelotnie we wzroku pani Valadier, ani dlaczego nie ma krzeseł w gabinecie pana Valadiera, na którego wizytówce widniał adres inny niż obecny. A mała? Przynajmniej ona nie stanowiła dla mnie zagadki. Domyślałam się, co czuje. W dzieciństwie byłam mniej więcej taka jak ona.



Zapaliło się światło na drugim piętrze w jej pokoju. Korciło mnie, żeby pójść i dotrzymać jej towarzystwa. Wydało mi się, że widzę jej cień w oknie. Nie zadzwoniłam jednak do drzwi. Czułam się tak źle w tamtym czasie, że nie miałam nawet odwagi pomóc komuś. Poza tym historia z psem przypomniła mi pewien epizod z dzieciństwa.

Doszłam do porte Maillot, z ulgą opuszczając Lasek Buloński. W dzień jeszcze dało się wytrzymać z małą nad stawem łyżwiarzy. Ale teraz, gdy było ciemno, doświadczałam poczucia pustki znacznie straszniejszego niż zawrót głowy, który mnie ogarniał na chodniku rue Coustou przed drzwiami prowadzącymi do Le Néant.

Po prawej miałam pierwsze drzewa Lasku Bulońskiego. Pewnego listopadowego wieczoru pies zgubił się w tym lasku i to będzie mnie dręczyło do końca życia, wracając w chwilach, gdy najmniej się tego spodziewam. W bezsenne noce i w samotne dni. Ale także w dni letnie. Powinnam była wytłumaczyć małej, że takie historie z psem są niebezpieczne.

Kiedy przedtem weszłam na podwórko szkolne i zobaczyłam ją na ławce, myślałam o podwórku innej szkoły. Byłam w tym wieku co mała, a na tamtym podwórku też były starsze dzieci z internatu. To one zajmowały się nami. Co rano pomagały nam się ubrać, a wieczorem umyć. Reperowały nasze ubrania. Moja opiekunka nazywała się Thérèse jak ja. Niebieskooka brunetka z tatuażem na ramieniu. We wspomnieniu przypomina nieco farmaceutkę. Inne pensjonariuszki, a nawet zakonnice bały się jej, lecz dla mnie zawsze była miła. Podkradała ciemną czekoladę z kuchennych zapasów i przynosiła mi wieczorem do sypialni. W dzień zabierała mnie czasami do zakładu przy kaplicy, gdzie duże uczyły się prasowania.

Pewnego dnia przyjechała moja matka. Zabrała mnie do samochodu. Siedziałam na przednim siedzeniu obok niej. Chyba mi powiedziała, że już nie wrócę do tej szkoły. Na tylnej kanapie znajdował się pies. A samochód stał zaparkowany w pobliżu miejsca, gdzie jakiś czas wcześniej potrąciła mnie furgonetka. Ta szkoła z internatem musiała się mieścić niedaleko Dworca Lyońskiego. Pamiętam, że w niedzielę, gdy Jean Borand czekał na mnie przed internatem, szliśmy piechotą do jego warsztatu. A w dniu, gdy matka zabrała mnie do samochodu z psem, przejechałyśmy przed Dworcem Lyońskim. W tamtych czasach paryskie ulice świeciły pustką, tak że odnosiłam wrażenie, iż tylko my jedziemy samochodem.

Właśnie owego dnia po raz pierwszy poszłam z nią do ogromnego mieszkania przy Lasku Bulońskim, gdzie pokazała mi MÓJ POKÓJ. Wcześniej, gdy z rzadka Jean Borand zabierał mnie w odwiedziny do niej, jechaliśmy metrem aż do stacji Étoile, a mieszkała jeszcze w hotelu. Jej pokój był mniejszy niż mój przy rue Coustou. W puszcze po ciastkach znalazłam telegram z jej prawdziwym nazwiskiem zaadresowany do tego hotelu: Suzanne Cardères, hotel San Remo, rue d'Armaillé 8. Zawsze sprawiało mi ulgę, gdy poznawałam adres miejsc, które pamiętałam mgliście i które bez przerwy nawiedzały mnie w koszmarach. Jeżeli dokładnie wiedziałam, gdzie są położone i że mogę na nie popatrzeć z zewnątrz, zyskiwałam pewność, że staną się niegroźne.

Pies. Czarny pudel. Od początku spał ze mną w pokoju. Moja matka nigdy się nim nie zajmowała, a zresztą jak teraz o tym myślę, w ogóle nie byłaby zdolna zajmować się psem, tak samo jak nie potrafiła opiekować się własnym dzieckiem. Z pewnością ktoś jej tego psa podarował. Był dla niej tylko elementem wyposażenia, którym szybko się znudziła. Dotąd się zastanawiam, jaki przypadek zrządził, że ten pies i ja znaleźliśmy się razem

w samochodzie. Teraz, gdy zajmowała ogromne mieszkanie i nazywała się hrabina Sonia O'Dauyé, niewątpliwie potrzebowała psa i córeczki.

Chodziłam z psem na spacerzy ulicą, przy której stała kamienica. Do samego końca, do porte Maillot. Nie pamiętam, jak pies się wabił. Moja matka nie nadała mu imienia. Działo się to w początkowym okresie naszego wspólnego życia w tamtym mieszkaniu. Jeszcze nie zapisała mnie do Świętego Andrzeja i na razie nie byłam Perełką. Jean Borand przychodził we czwartki i zabierał mnie na cały dzień do swojego warsztatu. Psa miałam zawsze przy sobie. Już zdążyłam zrozumieć, że moja matka zapomina go nakarmić. Ja przygotowywałam mu jedzenie. Kiedy Jean Borand przychodził po mnie, wsiadaliśmy do metra z psem – dyskretnie. Z Dworca Lyońskiego szliśmy do warsztatu. Chciałam go spuścić ze smyczy. Nie groziło mu rozjechanie, na ulicach nie było samochodów. Ale Jean Borand odradził mi puszczanie go wolno. Przecież nawet mnie o mało nie przejechała furgonetka pod szkołą.

Matka zapisała mnie do Świętego Andrzeja. Chodziłam tam sama piechotą każdego rana i wracałam pod wieczór, około szóstej. Niestety, nie mogłam zabierać ze sobą psa. Było to blisko mieszkania, przy rue Pergolèse. Znalazłam dokładny adres na świstku w kalendarzyku matki. SZKOŁA ŚWIĘTEGO ANDRZEJA, rue Pergolèse 58. Kto jej poradził, żeby mnie do niej posłała? Spędzałam tam całe dni.

Kiedy pewnego wieczoru wróciłam do mieszkania, psa nie było. Pomyślałam, że matka z nim wyszła. Obiecała mi, że będzie go wyprowadzała i karmiła. O to samo zresztą poprosiłam chińskiego kucharza, który gotował nam kolacje i co rano przynosił mojej matce do pokoju tacę ze śniadaniem. Wróciła niedługo po mnie, ale psa z nią nie było. Powiedziała, że zgubiła go w Lasku Bulońskim. W torebce miała smycz, którą mi podała, jakby chciała udowodnić, że nie kłamie. Głos miała

bardzo opanowany. Nie wyglądała na smutną. Można by powiedzieć, że uważała to za normalne. „Trzeba rozwiesić jutro ogłoszenia, to może ktoś go odprowadzi”. I zabrała mnie do mojego pokoju. Mówiła jednak tak spokojnie, tak obojętnie, że wyczułam, iż myśli o czym innym. Tylko ja myślałam o psie. Bałam się zgasić światło w swoim pokoju. Odwykłam od samotności w nocy, a teraz było mi jeszcze gorzej niż w sypialni internatu. Wyobrażałam go sobie w ciemnościach błakającego się po Lasku Bulońskim. Tamtego dnia moja matka poszła na jakieś przyjęcie i dotąd pamiętam, jaką sukienkę włożyła. Zwiewną niebieską. Ta sukienka długo mnie nawiedzała w koszmarach – zawsze nosił ją kościotrup.

Zostawiłam światło zapalone przez całą noc i w następne noce również. Strach już mnie nigdy nie opuścił. Mówiłam sobie, że po psie przyjdzie moja kolej.

Dziwne myśli chodziły mi po głowie, tak niejasne, że musiałam czekać dziesięć lat, aż się wykrystalizują i zdołam je sformułować. Jakiś czas przed spotkaniem w tunelach metra tej kobiety w żółtym płaszczu obudziłam się pewnego ranka, na ustach mając jedno z tych zdań, które wydają się niezrozumiałe, ponieważ są ostatnimi strzępkami zapomnianego snu: NALEŻAŁO ZABIĆ SZWABKĘ, ABY POMŚCIĆ PSA.

Wróciłam około siódmej wieczorem do pokoju przy rue Coustou, czując, że nie mam w sobie dość odwagi, by czekać aż do środy na przyjście farmaceutki. Na dwa dni wyjechała na prowincję. Zostawiła mi numer telefonu, na wypadek gdybym potrzebowała z nią porozmawiać: 225 w Bar-sur-Aube.

W podziemiach kawiarni przy place Blanche poprosiłam szatniarkę o połączenie z numerem 225 w Bar-sur-Aube. Ale kiedy już podnosiła słuchawkę, powiedziałam, że jednak nie, dziękuję. Z nagłą nie śmiałam już zwracać głowy farmaceutce. Kupiłam żeton, weszłam do kabiny telefonicznej i ostatecznie wybrałam numer Moreau-Badmajewa. Słuchał właśnie audycji w radiu, mimo to zaproponował, żebym do niego przyszła. Ogarnęła mnie ulga, że ktoś chce spędzić ze mną wieczór. Wahałam się, czy pojechać metrem do porte d'Orléans. Strachem napawała mnie przesiadka na stacji Montparnasse-Bienvenue. Tunel był tam równie długi jak w Châtelet, tyle że bez ruchomego chodnika. Miałam dość pieniędzy, by podjechać taksówką. Kiedy wsiadłam do pierwszej w sznurku czekającym przed Moulin-Rouge, naraz ogarnął mnie spokój jak tamtego wieczoru z farmaceutką.

\*

Zielone światło radioodbiornika płonęło, a Moreau-Badmajew, siedząc tyłem do ściany, pisał w bloku listowym to, co metaliczny męski głos mówił w obcym języku. Tym razem, powiedział, nie musi stenografować. Mężczyzna mówił tak wolno, że nadażał ze spisywaniem jego słów. Tego

wieczoru robił to dla własnej przyjemności, nie zaś z zawodowego obowiązku. Był to wieczorek poetycki. Audycję nadawano z daleka, od czasu do czasu męski głos zagłuszały zakłócenia. Potem człowiek umilkł i rozległa się melodia grana na harfie. Badmajew podał mi kartkę, którą pieczołowicie przechowuję do dzisiaj:

*Már egy hete csak a mamára  
gondolok mindig, meg-megállva.  
Nyikorgó kosárral ölében,  
ment a padlásra, ment serényen.*

*Én még őszinte ember voltam,  
ordítottam, toporzékoltam.  
Hagyja a dagadt ruhát másra.  
Engem vigyen föl a padlásra.*

Przetłumaczył mi ten wiersz, lecz zapomniałam, jaka jest jego treść i w jakim języku został napisany. Potem całkiem ściszył radio, zielone światełko jednak dalej się paliło.

– Coś pani dzisiaj nie w sosie.

Patrzył na mnie z taką uwagą, że poczułam ufność jak w obecności farmaceutki. Miałam ochotę wyznać mu wszystko. Opowiedziałam o popołudniu spędzonym z małą w Lasku Bulońskim, o Vérze i Michelu Valadierach, o powrocie do swojego pokoju przy rue Coustou. I o psie, który zaginął na zawsze niemal dwanaście lat wcześniej. Zapytał, jakiej maści był pies.

– Czarny.

– A później rozmawiała pani o nim z matką?

– Od tamtego czasu więcej jej nie widziałam. Wierzyłam, że umarła w Maroku.

Byłam gotowa opowiedzieć mu o spotkaniu w metrze z tamtą kobietą w żółtym płaszczu, o bloku w Vincennes, schodach i drzwiach Olżyśmierci, w które nie odważyłam się zapukać.

– Miałam dziwne dzieciństwo...

Cały dzień słuchał radia, robiąc notatki w bloku listowym. Równie dobrze mógł więc posłuchać mnie.

– Kiedy miałam siedem lat, nazywano mnie Perełką.

Uśmiechnął się. Bez wątpienia uważał, że to urocze czułe imię dla dziewczynki. Jemu również, byłam pewna, mama nadała jakieś przezwisko, które szeptała mu do ucha wieczorem, zanim ucałowała go na dobranoc. Misiaczek. Tygrysek. Kurczaczek.

– To nie tak, jak pan myśli – powiedziałam. – Dla mnie to był pseudonim artystyczny.

Zmarszczył brwi. Nie rozumiał. W tym samym okresie moja matka przybrała pseudonim artystyczny: Sonia O’Dauyé. Po jakimś czasie zrezygnowała z nieprawdziwego tytułu szlacheckiego, lecz miedziana tabliczka, na której stało: HRABINA SONIA O’DAUYÉ, pozostała na drzwiach mieszkania.

– Pseudonim artystyczny?

Zastanawiałam się, czy powinnam opowiedzieć mu o wszystkim od początku. O przyjeździe mojej matki do Paryża, o szkole tańca, hotelu najpierw przy rue Coustou, później przy rue d’Armaillé, i o moich najdawniejszych wspomnieniach: o internacie, furgonetce i eterze, o czasach, gdy jeszcze nie nazywałam się Perełka. Wyjawiałam mu jednak swój pseudonim artystyczny, lepiej było zatem pozostać przy epoce, gdy znalazłyśmy się z matką w tamtym ogromnym mieszkaniu. Nie dość jej

było, że zgubiła psa w Lasku Bulońskim. Potrzebowała innego, którego mogła pokazywać niczym cenną perłę, dlatego niewątpliwie tak właśnie mnie nazwała.

Milczał. Być może wyczuł, że waham się teraz, czy mówić dalej, albo sądził, że zgubiłam wątek swoich przeżyć. Nie śmiałam spojrzeć na niego. Wpatrywałam się w zielone światelko pośrodku frontu odbiornika, w fosforyzującą zieleń, która działała na mnie kojąco.

– Będę musiała pokazać panu zdjęcia... Wtedy pan zrozumie...

I próbowałam opisać mu dwa zdjęcia zrobione tego samego dnia, dwa zdjęcia artystek: Soni O'Dauyé i Perełki, wykonane na potrzeby filmu, do którego zaangażowano moją matkę, choć dotąd nigdy nie zajmowała się aktorstwem. Dlaczego dostała ten angaż? I od kogo? Zażyczyła sobie, żebym wystąpiła w filmie jako jej córka. Ona nie grała głównej roli, zależało jej jednak, abym była przy niej. Zastąpiłam psa. Na jak długo?

– Jaki był tytuł tego filmu?

– *Rozstaje łuczników.*

Odpowiedziałam bez wahania, lecz było to jak słowa wyuczone w dzieciństwie – jak modlitwa lub słowa piosenki, które się recytuje od początku do końca, nigdy nie pojmując ich sensu.

– Pamięta pani samo kręcenie filmu?

Wczesnym rankiem zabrano mnie do jakby wielkiego hangaru. Towarzyszył mi Jean Borand. Później, po południu, kiedy skończyłam i mogłam odejść, zaprowadził mnie niedaleko od tego miejsca do parku Buttes-Chaumont. Był bardzo gorący letni dzień. Zagrałam swoją rolę, nie musiałam więcej przychodzić do hangaru. Realizatorzy kazali mi się położyć na łóżku, po czym usiąść i powiedzieć: „Boję się”. I tyle. Kiedy indziej poprosili, żebym leżała po prostu na łóżku i oglądała książkę z obrazkami. Potem moja matka wchodziła do pokoju ubrana w niebieską



zwiewną sukienkę – tę samą, którą miała na sobie, wychodząc z mieszkania tamtego wieczoru, gdy zgubiła psa. Siadała na łóżku i patrzyła na mnie wielkimi smutnymi oczami. Następnie gładziła mnie po policzku i nachylała się, aby mnie pocałować, i pamiętam, że musiałyśmy to kilka razy powtarzać. W normalnym życiu nigdy nie obdarzała mnie czułościami.

Słuchał uważnie. Zapisał coś w bloku listowym. Spytałam, co zanotował.

– Tytuł filmu. Fajnie by było, gdyby go pani teraz zobaczyła, he?

W ciągu ostatnich dwunastu lat nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zobaczyć ten film. Dla mnie jakby nigdy nie istniał. Nikomu o nim nie mówiłam.

– Myśli pan, że dałoby się go obejrzeć?

– Spytam znajomego, który pracuje w filmotece.

Przeraziłam się. Byłam jak przestępczyni, która w końcu zapomina o swej zbrodni, a tymczasem jakiś jej dowód pozostaje. Która żyje pod innym nazwiskiem i tak dobrze zmieniła wygląd, że nikt jej nie może rozpoznać. Gdyby ktoś mnie zapytał: „Czy to nie pani była wtedy Perełką?”, odpowiedziałabym „Nie” i nie miałabym poczucia, że kłamię. Tamtego lipcowego dnia, kiedy matka odprowadziła mnie na dworzec Austerlitz i zawiesiła mi na szyi kartkę: „Thérèse Cardères, u pani Chatillon, chemin du Bréau w Fossombronne-la-Forêt”, zrozumiałam, że lepiej będzie zapomnieć o Perełce. Matka mi zresztą zabroniła rozmawiać z kimkolwiek i mówić, gdzie mieszkałam w Paryżu. Byłam po prostu uczennicą, która wracała na wakacje do rodziny mieszkającej przy chemin du Bréau w Fossombronne-la-Forêt. Pociąg ruszył. Panował tłok. Stałam w korytarzu. Całe szczęście, że na szyi miałam tę kartkę, inaczej zgubiłabym się wśród tylu ludzi. Zapomniałabym, jak się nazywam.

– Nie bardzo mam ochotę oglądać ten film – oświadczyłam.

Kiedyś rankiem w kawiarni przy place Blanche z ust kobiety przy sąsiednim stoliku usłyszałam wyrażenie, które mnie przeraziło: „Trup w szafie”. Miałam ochotę spytać Moreau-Badmajewa, czy taśma filmowa starzeje się z czasem i rozkłada jak zwłoki. Gdyby tak było, twarze Soni O’Dauryé i Perełki już by przeżarła zgnilizna i nie dałoby się usłyszeć ich głosów.

\*

Powiedział, że jestem bardzo blada, i zaproponował wspólną kolację niedaleko.

Pomaszerowaliśmy wzdłuż bulwaru Jourdana chodnikiem po lewej i weszliśmy do dużej kawiarni. Wybrał stolik na przeszklonym tarasie.

– Widzi pani, jesteśmy dokładnie naprzeciwko Międzynarodowego Miasteczka Uniwersyteckiego. – I wskazał po drugiej stronie bulwaru gmach przypominający zamek. – Studenci, którzy tam mieszkają, bywają tutaj, a że mówią wszystkimi językami, tę kawiarnię nazwano Babel.

Rozejrzałam się dokoła. Pora zrobiła się już późna, toteż nie było dużo klientów.

– Często przychodzę tutaj i słucham, jak ludzie mówią w języku ojczystym. Dla mnie to dobre ćwiczenie. Są nawet studenci z Iranu, ale niestety, żaden nie posługuje się perskim z łąk.

O tej porze nie serwowano już gorących dań, zamówił więc dwa sandwicze.

– A czego się pani napije?

– Czystej whisky.

Mniej więcej o tej godzinie innej nocy poszłam na rue Puget do baru Canter po papierosy. I pamiętałam, o ile lepiej się poczułam, gdy zmuszono mnie do wypicia szklaneczki whisky. Oddychałam z łatwością, rozplynęły

się lęki wraz z ciężarem, który mnie dusił. Podziałało prawie tak samo dobrze jak eter w dzieciństwie.

– Pewnie skończył pan porządne studia...

Przestraszyłam się, że z mojego głosu przebija odrobina zazdrości i goryczy.

– Mam tylko maturę i Szkołę Języków Wschodnich.

– Myśli pan, że mogłabym się zapisać do Szkoły Języków Wschodnich?

– Oczywiście.

A zatem nie całkiem zełgałam farmaceutce.

– Zdała pani maturę?

W pierwszej chwili chciałam powiedzieć, że tak, lecz głupio było go okłamywać teraz, kiedy mu się zwierzyłam.

– Niestety, nie.

I pewnie miałam minę tak zawstydzoną i strapioną, że czym prędzej wzruszył ramionami i rzekł:

– To nie takie ważne, wie pani. Mnóstwo wspaniałych ludzi nie ma matury.

Spróbowałam sobie wtedy przypomnieć szkoły, do których chodziłam: najpierw tę z internatem, od piątego roku życia, tę, gdzie duże zajmowały się nami. Co się dzieje z Thérèse po tylu latach? Po co najmniej jednym szczególnie mogłabym ją rozpoznać – po tatuażu, który miała na ramieniu, przedstawiającym, jak mi powiedziała, rozgwiadę. Potem, gdy matka zabrała mnie do ogromnego mieszkania, uczęszczałam do Świętego Andrzeja. Po jakimś czasie jednak nazwała mnie Perełką i chciała, żebym wystąpiła z nią w filmie *Rozstaje łuczników*. Przestałam wtedy chodzić do Świętego Andrzeja. Pamiętałam również młodego człowieka, który bardzo krótko zajmował się moją edukacją. Być może matka znalazła go przez

Agencję Taylor i tego rudego faceta, który mnie posłał do Valadierów. Pewnej zimy, gdy w Paryżu nasypało dużo śniegu, ten młody człowiek zabrał mnie na sanki do ogrodów Trocadéro.

– Nie jest pani głodna?

Właśnie upiłam łyżeczkę whisky, a on patrzył na mnie z niepokojem. Sandwicza nie tknęłam.

– Powinna pani zjeść choć trochę...

Zmusiłam się, by odgryźć kęs, lecz naprawdę z trudem go przełknęłam. Znowu upiłam whisky. Nie przywykłam do alkoholu. Był gorzki, ale zaczynałam czuć skutek jego działania.

– Często pija pani takie trunki?

– Nie. Nieczęsto. Akurat dzisiaj chciałam dla kurażu, żeby mieć odwagę mówić...

Powinłam mu pokazać fotos z filmu *Rozstaje łuczników* schowany na dnie puszek. Nie lubiłam oglądać tej fotografii. Byłam na niej w koszuli nocnej, z szeroko otwartymi oczami i latarką elektryczną w ręce na zamkowym korytarzu. Wyszłam ze swojego pokoju z powodu burzy.

– Jednego nie rozumiem. Dlaczego matka panią zostawiła i wyjechała do Maroka?

Jak dziwnie było słyszeć z czyichś ust pytania, które dotąd tylko ja jedna sobie zadawałam... W domu w Fossombronne czasami udawało mi się podsłuchać fragmenty rozmów Frédérique z koleżankami. Myślały, że ich nie słyszę albo że jestem za mała, by zrozumieć. Pewne słowa wryły mi się w pamięć – zwłaszcza to, co mówiła brunetka, ta, która znała moją matkę w początkach kariery i nie lubiła jej: „Całe szczęście, że Sonia w porę wyjechała z Paryża”... Miałam wtedy chyba trzynaście lat, zabrzmiało mi to tajemniczo, lecz nie śmiałam prosić Frédérique o wyjaśnienia.

– Nie wiem dokładnie – odparłam. – Myślę, że wyjechała z kimś.

Tak, jakiś mężczyzna ją tam zabrał lub poprosił, aby do niego przyjechała. Jean Borand? Nie sądzę. Zaproponowałby, żeby mnie także wziąć. Pewnego wieczoru pod nieobecność Frédérique znowu rozmawiały o mojej matce i brunetka powiedziała: „Sonia spotykała się z dziwnymi typami”. Jeden z tych „typów” zapłacił – mówiły – „żeby Sonia zagrała w filmie”. Zrozumiałam, że chodziło o *Rozstaje łuczników*.

Pewnego letniego popołudnia poszłam z Frédérique na spacer po lesie. Trzeba było iść chemin du Bréau i dochodziło się do lasu. Spytałam ją wtedy, dlaczego z dnia na dzień moja matka znalazła się w tym ogromnym mieszkaniu. Otóż spotkała kogoś, kto ją tam ulokował. Ale nazwiska tego człowieka nikt nie znał. Niewątpliwie właśnie on zabrał ją do Maroka. Później wyobrażałam sobie mężczyznę bez twarzy dźwigającego nocą walizki. Spotkania w hotelowych holach, na peronach dworcowych, zawsze przy niebieskim świetle dyżurnej lampki. Ciężarówki załadowywane w pustych warsztatach, takich jak warsztat Jeana Boranda przy Dworcu Lyońskim. I zapach uschłych liści oraz zgnilizny, zapach Lasku Bulońskiego tamtego wieczoru, gdy zgubiła psa.

\*

Musiało być późno, ponieważ kelner podszedł do nas, by powiedzieć, że zaraz zamykają.

– Wstąpi pani do mnie? – spytał Moreau-Badmajew.

Może odgadł moje myśli. Znowu poczułam ciężar, który nie pozwalał mi oddychać wobec perspektywy, że zostanę samiutka tej nocy w rejonie porte d’Orléans.

W mieszkaniu zaproponował coś ciepłego do picia. Słyszałam, jak otwiera i zamyka szafkę, gotuje wodę. Rozległo się metaliczne szczęknięcie

garnka. Gdybym się na chwilę wyciągnęła na łóżku, poczułabym się lepiej. Żarówka na trójnogu rozsiewała ciepłe rozproszone światło. Chętnie bym włączyła odbiornik, by zobaczyć zielone światełko. Teraz leżałam z głową na poduszce – miększej niż ta, do której przywykłam na rue Coustou – mając wrażenie, że zdjęto ze mnie stalowy gorset albo gips, który ścisnął mi pierś. Chętnie bym tak pobyła cały dzień z dala od Paryża, gdzieś na południu Francji albo w Rzymie, z promieniami słońca sączącymi się przez szpary w żaluzjach... Wszedł do pokoju z tacą. Usiadłam. Byłam zażenowana. Powiedział: „Nie, nie, proszę tam zostać” i postawił tacę na podłodze przy łóżku.

Podał mi kubek. Później podciągnął poduszkę za mną i ułożył ją pod ścianą, abym mogła się o nią oprzeć.

– Powinna pani zrzucić płaszcz.

Nawet nie zauważyłam, że ciągle jestem w płaszczu. I w butach. Odstawiłam kubek na podłogę tuż obok. Pomógł mi zdjąć płaszcz i buty. Pozbywszy się butów, odczułam wielką ulgę, jakby odpiął obręcz, które na kostkach nosili galernicy i skazani na śmierć. Pomyślałam o kostkach mojej matki, które musiałam masować i przez które przyszło jej zrezygnować z tańca klasycznego. Porażka i życiowe nieszczęście skupiły się w jej kostkach u nóg, później zaś niewątpliwie ogarnęły całe ciało niczym dojmujący ból. Teraz lepiej ją rozumiałam. Ponownie podał mi kubek.

– Herbata jaśminowa. Mam nadzieję, że pani lubi.

Musiałam fatalnie wyglądać, skoro przemawiał do mnie tak cicho, niemal szeptem. O mało nie zapytałam, czy wyglądam na chorą, ostatecznie jednak zrezygnowałam. Wolałam nie wiedzieć.

– Odnoszę wrażenie, że wspomnienia z dzieciństwa bardzo panią dręczą – powiedział.

Owszem, od tamtego wieczora, gdy w metrze zobaczyłam kobietę w żółtym płaszczu. Przedtem rzadko o tym myślałam.

Napiłam się herbaty. Była mniej gorzka niż whisky.

Otworzył blok listowy.

– Może mi pani zaufać. Przywykłem rozumieć wszystko, nawet w obcych językach, a pani język wcale nie jest dla mnie obcy.

Wydawał się wzruszony, że wygłosił tę deklarację. Ja także byłam trochę wzruszona.

– Jeśli dobrze rozumiem, nie dowiedziała się pani, kto wynajął pani matce to ogromne mieszkanie...

Pamiętałam, że w salonie, w pokoju, w którym stopnie pokryte pluszem tworzyły coś w rodzaju estrady, była szafa wbudowana w ścianę. Matka otwierała drzwi osadzone w murze i wyciągała paczkę banknotów. Widziałam nawet, jak dawała taki plik Jeanowi Borandowi w pewien czwartek, kiedy po mnie przyszedł. Na pozór skarb był niewyczerpany do samego końca, do dnia, gdy zaprowadziła mnie na dworzec Austerlitz. A nawet tego dnia, zanim wsiadłam do pociągu, włożyła mi do walizki kopertę zawierającą kilka takich paczek: „Dasz je Frédérique, żeby się zaopiekowała tobą...”. Zastanawiałam się później, skąd brała tyle pieniędzy. Od człowieka, który załatwił jej mieszkanie? Od typa, którego nazwiska nikt nie znał? Twarzy również. Daremnie grzebałam w pamięci – nigdy nie widziałam żadnego mężczyzny, który by regularnie przychodził do tamtego mieszkania. A nie mógł to być Jean Borand, ponieważ dawała mu pieniądze. W sumie być może ten typ był moim ojcem. Nie chciał się jednak ujawnić, wolał pozostać ojcem nieznanym. Na pewno przychodził bardzo późno, około trzeciej w nocy, kiedy spałam. Często budziłam się w środku nocy i zawsze wtedy mi się wydawało, że słyszę dźwięk głosów. Mój pokój był dość blisko pokoju matki. Dwanaście lat później ciekawiło

mnie, co czuła pierwszego wieczoru w tym mieszkaniu, opuściwszy pokój w hotelu przy rue d'Armaillé. Czy miała poczucie, że wzięła odwet na życiu? Nie mogła zostać gwiazdą baletu, a teraz, z nowym nazwiskiem, zapragnęła zagrać rolę w filmie i mnie zabrać ze sobą, jak tresowanego pieska. A za udział w tym filmie, jak zrozumiałam, słuchając rozmów w Fossombronne, zapłacił typ, którego nazwiska nikt nie znał.

– Pozwoli pani?

Podniósł się i pochylił nad radiem. Przekręcił gałkę, zapłonęło zielone światełko.

– Muszę dzisiejszej nocy wysłuchać audycji... do pracy... Tylko że nie bardzo pamiętam, o której się zaczyna.

Obracał gałkę powoli, jakby szukał stacji trudnej do złapania. Ktoś mówił gardłowym językiem, między zdaniami na długo zapadała cisza.

– No, jest.

Po każdym kolejnym zdaniu robił notatki w bloku listowym.

– Zapowiada programy nocne... Audycję, która mnie interesuje, nadadzą później.

Cieszyło mnie, że widzę to zielone światełko. Nie wiem dlaczego, ale mnie uspokajało niczym zostawiona włączona lampa w korytarzu przy pokoju dzieci. Jeśli się przebudzą w środku nocy, przez uchylone drzwi będzie wpadało światło...

– Nie będzie pani przeszkadzało włączone radio? Zostawiłbym na wszelki wypadek, by mieć pewność, że nie przegapię audycji.

Teraz słyszeć było muzykę podobną do tej, która dobiegała z dołu tamtej nocy, gdy byłam w pokoju na rue Coustou z farmaceutką. Muzykę czystą, przywodzącą na myśl marsz somnambulika nocą przez pusty plac albo wiatr dmuchający na promenadzie nadmorskiej w listopadzie.

– Nie przeszkadza pani ta muzyka w tle?



– Nie.

Gdybym jej słuchała sama, wydawałaby mi się mocno przygnębiająca, lecz z nim wcale mi nie przeszkadzała. Przeciwnie, raczej działała na mnie kojąco.

– A pamięta pani adres tego ogromnego mieszkania?

Na okładce kalendarzyka mojej matki poniżej adnotacji: „W razie zgubienia proszę odesłać na adres” rozpoznałam jej duże pismo: „Hrabina Sonia O’Dauyé, PASSY, 15 28”.

– Pamiętam nawet numer telefonu – odparłam.

Wybierałam go tak często w kabinie telefonicznej w kawiarni... Pewien klient powiedział, że jestem „tą małą od 129”... Było to późnym popołudniem, gdy wracałam ze szkoły Świętego Andrzeja i nie było nikogo, kto by mi otworzył. Ani mojej matki, ani chińskiego kucharza, ani jego żony. Chiński kucharz wracał około siódmej, lecz hrabina Sonia O’Dauyé mogła być nieobecna aż do następnego dnia. Zawsze mówiłam sobie dla uspokojenia, że po prostu nie usłyszała dzwonka u drzwi. Na pewno za to usłyszy dzwonek telefonu. PASSY 15 28.

– Zawsze można zadzwonić na ten numer – rzekł Moreau-Badmajew z uśmiechem.

Taka myśl nigdy w ciągu tych dwunastu lat nie przyszła mi do głowy. Kiedy w Fossombronne usłyszałam, jak Frédérique mówi, że udała się na avenue de Malakoff, by zabrać rzeczy zostawione przez moją matkę, zastanawiałam się, co to za rzeczy. Portret pędzla Toli Sungurowa? Wytłumaczyła mi jednak, że nie mogła wejść do środka. Mieszkanie zostało „opieczętowane”. Tak, do drzwi przyklejono pieczęcie z czerwonego wosku. I tamtej nocy śniłam, że moja matka nosi na ramieniu piętno wypalone rozpalonym do czerwoności żelazem.

– Mówi pani PASSY piętnaście dwadzieścia osiem?

Wziął telefon postawiony przy radiu i przeniósł go na łóżko. Podał mi słuchawkę, sam wybrał numer. W czasach ogromnego mieszkania miałam kłopot z odczytaniem liter i cyfr na tarczy aparatu w kawiarnianej kabine telefonicznej.

W słuchawce długo rozbrzmiewał sygnał. Miał dziwny piskliwy dźwięk, przytłumiony. Kto mógł teraz mieszkać w tym mieszkaniu? Niewątpliwie prawdziwi właściciele. Prawdziwe dzieci – te, o których była mowa na tabliczce w kuchni – odzyskały swój pokój nielegalnie zajmowany przeze mnie przez dwa lata. A w pokoju, w którym spała moja matka, teraz przebywali prawdziwi rodzice.

– Zdaje się, że nie odpowiada – powiedział Moreau-Badmajew.

Wciąż trzymałam słuchawkę przy uchu. W końcu odebrano, lecz nikt nie odpowiadał. Rozlegały się głosy bliskie, głosy odległe, męskie i kobiece. Nawoływały się, próbowały się porozumieć po omacku. Czasem słyszałam wyraźnie dwie osoby, które rozmawiały ze sobą i ich głosy nakładały się na pozostałe.

– Numer nie jest nikomu przydzielony, więc ludzie korzystają z niego, żeby się poznawać i umawiać na randki. To się nazywa Sieć.

Wszystkie te nieznanym głosy należały może do osób, które figurowały w kalendarzyku mojej matki i których telefony nie odpowiadały. Słysząc było także coś w rodzaju szelestu, wiatru poruszającego liśćmi w lecie przy avenue de Malakoff. Pomyślałam zatem, że od naszego wyjazdu w mieszkaniu nikt już nie przebywa oprócz widm i tych głosów. Nie zdjęto pieczęci. Okna pozostawiono szeroko otwarte, dlatego słysząc wiatr. Nie ma prądu, jak w noc bombardowania, kiedy tak się bałam, że pobiegłam do matki do salonu. Zapaliła świeczki.

Niewiele przyjmowała wizyt. Dwie kobiety przychodziły często: gruba Madeleine-Louis i Simone Bouquereau. Później spotkałam je u Frédérique

w Fossombronne, lecz unikały mnie i naprawdę nie chciały rozmawiać ze mną o mojej matce. Może miały sobie coś do zarzucenia.

Simone Bouquereau miała malutką blond głowę mumii, a jej chudość była uderzająca. Brunetka powiedziała kiedyś, że „Simone przeszła kurację odwykową”. A pewnego wieczoru po kolacji, sądząc, że poszłam do swojego pokoju, rozmawiały z Frédérique o przeszłości i rzekła: „Przecież Simone zaopatrywała biedną Sonię...”. Zanotowałam te słowa na karteluszkę. Począwszy od czternastego roku życia, ileż ich rozmów podsłuchałam, próbując pojąć... Zapytałam Frédérique, co to w ogóle znaczy. „Twoja matka od wypadku brała czasami morfinę”. Nie rozumiałam, o jakim wypadku mówi. O tym z kostkami u nóg? Morfina, zdaje się, jest dobrym środkiem przeciwbólowym.

Nadal trzymałam słuchawkę przy uchu. Głosy zagłuszał szum wiatru w liściach. Wyobrażałam sobie ów wiatr, który trząsał drzwiami i oknami, nawiewał falami suche liście na parkiet i stopnie pokryte pluszem w salonie. Plusz pewnie przegnił i przeobraził się w mech, szyby w oknach powypadały. Setki kotów opanowały mieszkanie. A także czarne psy, takie jak ten, który mi zginął w Lasku Bulońskim.

– Rozpoznaje pani czyjś głos? – zapytał Moreau-Badmajew. Położył słuchawkę telefonu na łóżku i uśmiechał się do mnie.

– Nie. – Umieściłam słuchawkę na widelkach, odstawiłam aparat na miejsce. – Boję się wrócić do siebie i być tam sama – powiedziałam.

– Ależ może pani tu zostać. – Pokręcił głową, jakby to było coś oczywistego. – Teraz muszę popracować... Mam nadzieję, że dźwięk radia nie będzie pani przeszkadzał.

Wyszedł z pokoju i wrócił po chwili ze starym abażurem, który jako tako zamocował na trójnogu. Światło żarówki stało się jeszcze bardziej

stłumione. Następnie usiadł na brzegu łóżka blisko radia. I położył sobie na kolanach blok listowy.

– Światło nie jest dla pani za mocne?

Odpowiedziałam, że tak jest bardzo dobrze.

Leżałam po drugiej stronie łóżka, w cieniu. Słyszałam w radiu ten sam głos co przedtem, taki gardłowy. I podobne przerwy oddzielały jedno zdanie od drugiego. Moreau-Badmajew notował słowa w swoim bloku listowym. Nie mogłam oderwać wzroku od zielonego światełka i w końcu usnęłam.

**W**e środę farmaceutka wróciła z Bar-sur-Aube. Zadzwoiłam do niej, powiedziała, że możemy się zobaczyć wieczorem. zaproponowała spotkanie w swojej dzielnicy, lecz znowu bałam się wsiąść do metra i samotnie jeździć po Paryżu. Zaprosiłam ją więc na kolację w kawiarni przy place Blanche.

Zastanawiałam się, co ze sobą począć do wieczora. Nie czułam się na siłach pojechać do Neuilly, by zajmować się małą. Szczególnym lękiem napawał mnie odcinek drogi wzdłuż lasu niedaleko ogrodu botanicznego, w okolicy, gdzie zgubił się pies. Prawie codziennie wychodziłam z psem na spacer, kierując się ku porte Maillot. Wówczas znajdował się tam jeszcze lunapark. Pewnego popołudnia matka spytała, czy chciałabym iść do lunaparku. Sądziłam, że zamierza wybrać się tam ze mną. Ale nie. Gdy dzisiaj o tym myślę, uważam, że po prostu chciała, abym ją zostawiła samą tego popołudnia. Być może miała randkę z tym, którego nazwiska nikt nie znał i dzięki któremu zajmowałyśmy tamto mieszkanie. Otworzyła drzwi wstawione w ścianę salonu, wręczyła mi gruby banknot i powiedziała: „Idź się zabawić w lunaparku”. Nie rozumiałam, czemu daje mi tyle pieniędzy. Wydawała się tak zaabsorbowana, że nie śmiałam się jej sprzeciwić. Już na dworze przyszło mi do głowy, żeby nie iść do lunaparku. Tyle że po powrocie mogła mnie wypytywać, zażądać, abym pokazała bilet wstępu albo bilety na atrakcje, często bowiem potrafiła sobie coś ubzdurać i wtedy nie wolno było jej okłamywać. A ja w tamtych czasach nie umiałam kłamać.

Kiedy kupowałam bilet przy wejściu, pan w kasie okazał zdziwienie, że płacę takim grubym banknotem. Wydał mi resztę i wpuścił mnie.

W zimowy dzień. Można by powiedzieć, że była już noc. Pośród tego wiejskiego festynu odnosiłam wrażenie, że jestem w niemiłym śnie. Uderzała mnie zwłaszcza cisza. Większość atrakcji była zamknięta. Karuzele obracały się w ciszy, na drewnianych konikach nikt nie siedział. Nikogo też nie było w alejkach. Doszłam do diabelskiego koła. Gondole wspinały się pod górę i zjeżdżały na dół całym pędem, były wszakże puste. Przy wejściu na diabelski młyn zobaczyłam trzech chłopców starszych ode mnie. Mieli na sobie szare bluzy, kuse i potargane. A na nogach dziurawe buty, każdy od innej pary. Pewno do lunaparku weszli nielegalnie, bo zerkali na prawo i lewo, jakby ich ktoś ścigał. Wyraźnie jednak bardzo pragnęli się przejechać na diabelskim młynie. Podeszłam do nich. Największemu dałam wszystkie banknoty, które mi zostały. I uciekłam, licząc, że obsługa pozwoli mi wyjść stamtąd.

Nie, nie pojedę dzisiaj do Valadierów, trzeba ich jednak uprzedzić. Wyszłam z pokoju i udałam się na pocztę przy place des Abbesses, po drodze kupiłam w trafice Les Moulins kopertę i arkusz papieru listowego. Na poczcie ustawiłam się przed okienkiem i napisałam:

*Droga Véro Valadier, nie mogę dzisiaj zająć się Pani córką, ponieważ jestem cierpiąca. Wolę przeczekać to do soboty, kiedy zjawię u Państwa jak zwykle o 4 po południu. Przepraszam. Ukłony dla Pana Michela Valadier.  
Thérèse.*

Aby list dotarł w porę, posłałam go pocztą pneumatyczną. Następnie przeszłam się po okolicy. Świeciło słońce i w miarę upływu czasu czułam się coraz lepiej. Bez trudu oddychałam. Dotarłam do ogrodów przy Sacré-Coeur, gdzie nie mogłam się powstrzymać, by nie wodzić wzrokiem za przesuającą się kolejką linową. Wróciłam potem do swojego pokoju przy rue Coustou, położyłam się na łóżku i próbowałam czytać książkę, którą mi

pożyczył Moreau-Badmajew. Nie po raz pierwszy. Zaczynałam, usiłowałam walczyć z nieuwagą, wciąż jednak wracałam do pierwszego zdania niczym na trampolinę, która pozwoli mi się wybić, i to pierwsze zdanie utkwilo mi w pamięci: „Oddalone od centrum ulice nie zapewniają tych wygod, do których przywykli mieszkańcy śródmieścia”.

\*

Umówione byłyśmy na dwudziestą w kawiarni przy place Blanche. To ta, która przypomina nieduży dom. Jest w niej sala na piętrze, lecz powiedziałam, że będę przy stoliku na parterze.

Przyszłam z półgodzinnym wyprzedzeniem i wybrałam stolik przy przeszklonej ścianie od strony rue Blanche. Kelner zapytał, czy czegoś się napiję, i korciło mnie, by zamówić szklaneczkę czystej whisky. Głupie, stwierdziłam, nie potrzebowałam tego. Nie czułam ciężaru, który zwykle mnie przygniatał. Odparłam, że czekam na kogoś, i wymówienie tych trzech zwyczajnych słów zrobiło mi równie dobrze jak alkohol.

Weszła do lokalu punktualnie o ósmej. Miała na sobie to samo futro co ostatnio i buty na płaskim obcasie. Od razu mnie zobaczyła. Kiedy szła do stolika, spostrzegłam, że ma krok tancerki, lecz dla mnie lepiej było, że jest farmaceutką. Cmoknęła mnie w czoło i usiadła obok na kanapce.

– Dziś lepiej niż ostatnio?

Uśmiechała się. W tym uśmiechu i spojrzeniu było coś opiekuńczego. Naprawdę wcześniej nie zauważyłam, że oczy ma zielone. Byłam zbyt pogubiona wtedy w niedzielę, na fotelu w aptece, i później, w moim pokoju, światło też nie było tak jasne jak w lokalu.

– Przyniosłam pani coś na polepszenie. – I wyjęła z kieszeni futra, które ułożyła na kanapce, dwa flakoniki z lekarstwami. – To syrop na kaszel. Trzeba zażywać cztery razy dziennie... A to proszki nasenne. Proszę

zażywać jeden wieczorem i zawsze, kiedy poczuje się pani trochę dziwnie...  
– Postawiła flakoniki przede mną na stole. – Myślę też, że dobrze by pani zrobiły zastrzyki z witaminy B dwanaście.

Powiedziałam tylko „dziękuję”. Chciałabym powiedzieć coś więcej, ale nie przywykłam, że ktoś się o mnie troszczy – ostatnio miało to miejsce w dniu, gdy potrafiła mnie furgonetka i zakonnice były tak miłe, że dały mi powąchać tampon nasączony eterem.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. Chociaż wyczuwałam w niej niejaką autorytatywność, odnosiłam wrażenie, że jest nieśmiała jak ja.

– Czy nie była pani kiedyś tancerką?

Wydała się zaskoczona pytaniem, w końcu się roześmiała.

– A dlaczego?

– Jak pani tu szła, stwierdziłam, że ma pani krok tancerki.

Wyjaśniła, że chodziła na lekcje tańca do dwunastego roku życia, jak większość dziewczynek. Ale to wszystko. Pomyślałam o innym zdjęciu w puszcze po ciastkach. Dwóch dwunastoletnich dziewczynek w strojach baletnic. A na odwrocie zdjęcia dziecięcym pismem wypisano fioletowym atramentem: „Josette Dagory i Suzanne” – to było prawdziwe imię mojej matki. Jean Borand miał to samo zdjęcie przypięte do ściany w swoim biurze w warsztacie. Wszystko szło jeszcze dobrze, gdy zostało zrobione. Kiedy właściwie wydarzył się wypadek z kostkami u nóg czy po prostu wypadek? Ile miała lat? Było za późno, aby się dowiedzieć. Nikt już nie mógł mi podać szczegółów.

Gdy podszedł do nas kelner, zdziwiła się, że nic nie zamawiam.

– Trzeba nabrać sił, nieszczególnie pani wygląda...

Moreau-Badmajew też mnie namawiał do jedzenia, ona jednak była bardziej stanowcza.

– Niezbyt jestem głodna.



– W takim razie podzielimy się tym, co ja zamówiłam.

Nie odważyłam się sprzeciwić. Nałożyła mi połowę swojego dania, a ja zmusiłam się, żeby to zjeść, zamknąwszy oczy i licząc kęsy.

– Często pani tu przychodzi?

Przychodziłam głównie bardzo wcześnie z rana, zaraz po otwarciu, w porze dnia, gdy czułam się najlepiej. Jakaż to była ulga, że na dzisiaj koniec z ciężkim snem i przykrymi marzeniami.

– Dawno nie byłam w tej dzielnicy – powiedziała, wskazując za przeszkloną ścianą aptekę po drugiej stronie rue Blanche. – Tu podjęłam swoją pierwszą pracę zaraz po szkole... Nie było tak spokojnie jak w miejscu, gdzie pracuję teraz.

Być może znała moją matkę po jej „wypadku”, kiedy była tancerką i mieszkała jeszcze w pokoju hotelowym. Lata mieszały mi się w głowie.

– Chyba w tamtym czasie było dużo tancerek w okolicy – zauważyłam.

– Znała pani jakieś?

Zmarszczyła brwi.

– Och, wie pani, różni ludzie się kręcili po tej dzielnicy.

– Pracowała pani w nocy?

– Tak. Często. – Wciąż marszczyła brwi. – Nie bardzo lubię rozmawiać o przeszłości... Prawie nic pani nie je. To niemądre.

Przełknęłam ostatni kęs, aby sprawić jej przyjemność.

– Długo zamierza pani zostać w tej dzielnicy? Nie mogłaby pani poszukać pokoju bliżej Szkoły Języków Wschodnich?

Ano tak, powiedziałam jej tamtego wieczoru, że uczęszczam do Szkoły Języków Wschodnich. Zapomniałam, że dla niej jestem studentką.

– Mam nadzieję, że się przeniosę do innej dzielnicy, jak tylko będę mogła.

Korciło mnie, aby jej wyznać, że na tej kanapce, na której siedziałam w kawiarni przy place Blanche, niewątpliwie siadywała moja matka przed dwudziestu laty. I że kiedy się urodziłam, mieszkała jak ja teraz w pokoju na rue Coustou numer 11 – być może w moim.

– Dojazd do szkoły jest dość wygodny – rzekłam. – Wsiadłam do metra tutaj, na stacji Blanche, i jadę bezpośrednio do Sèvres-Babylon.

Znowu się uśmiechnęła ironicznie, jakby nie wierzyła w moje kłamstwo. Rzuciłam nazwę ot, tak. Nie miałam pojęcia, gdzie się mieści Szkoła Języków Wschodnich.

– Ma pani taką strapioną minę – zauważyła. – Chciałabym wiedzieć, co panią martwi.

Przysunęła twarz do mojej. Zielonych oczu wciąż nie odrywała ode mnie. Chciała czytać mi w myślach, czułam, że wpadam w odrętwienie, zaraz zacznę mówić bez chwili przerwy, wszystko jej wyznam. A ona nie będzie musiała notować jak Moreau-Badmajew.

– Zostanę jeszcze jakiś czas w tej dzielnicy, a potem koniec.

Im dłużej wpatrywała się we mnie zielonymi oczami, tym jaśniej widziałam w sobie. Zdawało mi się nawet, że oddzielam się od siebie. To proste, dziewiętnastoletnia zaledwie szatynka siedziała tego wieczoru na kanapce w kawiarni przy place Blanche. Masz metr sześćdziesiąt, ubrana jesteś w wełniany sweter w kolorze złamanej bieli, z warkoczami. Zostaniesz tam jeszcze trochę, a potem będzie koniec. Jesteś tutaj, ponieważ chciałeś po raz ostatni cofnąć się w czasie, aby spróbować zrozumieć. Właśnie tutaj, przy place Blanche, w blasku świateł elektrycznych wszystko się zaczęło. Po raz ostatni wróciłeś do Kraju Ojczystego, aby sprawdzić, czy można było pójść inną drogą i czy sprawy nie potoczyłyby się inaczej.

– Z czym koniec? – zapytała.

– Z niczym.

I przełknęłam kolejny kęs, by sprawić jej przyjemność.

– Powinna pani zamówić deser.

– Nie, dziękuję. Ale może byśmy się czegoś napiły?

– Nie sądzę, by alkohol był dla pani wskazany.

Lubiłam jej ironiczny uśmiech i precyzyjny sposób wysławiania.

– Dawno nie wyjeżdżała pani z Paryża?

Odparłam, że od szesnastego roku życia nie opuściłam miasta. Tylko jakieś dwa, trzy razy facet, którego poznałam, Wurlitzer, zabrał mnie nad Morze Północne.

– Powinna pani od czasu do czasu odetchnąć świeżym powietrzem. Nie chciałaby pani pojechać ze mną w sobotę? Znów muszę spędzić trzy dni w Bar-sur-Aube. Dobrze by to pani zrobiło. Mam dom za miastem.

Bar-sur-Aube. Wyobraziłam sobie pierwsze promienie słońca, rosę na trawie, spacer brzegiem rzeki... Proste nazwy pobudzały mnie do marzeń.

Spytała raz jeszcze, czy chcę pojechać w sobotę do Bar-sur-Aube.

– Niestety, po południu muszę iść do pracy – powiedziałam.

– Ale wyjeżdżam dopiero koło szóstej wieczór.

– A, w takim razie mogę. To naprawdę miłe z pani strony.

Poproszę Véré Valadier, by pozwoliła mi wyjść wcześniej niż zwykle. A mała? Na pewno nie będą mieli nic przeciwko temu, żebym ją zabrała na dwa dni do Bar-sur-Aube.

\*

Szłyśmy deptakiem przy bulwarze. Nie śmiałam jej zaproponować, by znowu została ze mną na noc. Zawsze będę mogła przecież zadzwonić do Moreau-Badmajewa. Jeżeli jednak go nie zastanę i będzie zajęty poza domem aż do jutra?

Musiała wyczuć mój niepokój. Wzięła mnie za rękę i powiedziała:

– Mogę iść do pani, jeśli pani chce.

Weszliśmy w rue Coustou. I tam na chodniku po prawej, kiedyśmy mijaly fasadę z ciemnego drewna knajpy Le Néant, zobaczyłam przy wejściu tablicę: CINQ-VERNE, JEJ DZIEWCZĘTA I POCIĄG WIDMO i przysły mi na myśl słowa Frédérique, gdy mówiła o mojej matce i o „wypadku”, przez który musiała zrezygnować z tańca klasycznego i pracować w miejscach takich jak to: „Koń wyścigowy, którego prowadzą do rzeźni”.

– Nie chce pani przypadkiem wsiąść do pociągu widma? – spytała farmaceutka.

Jej uśmiech mnie uspokoił. W pokoju wyjęła z kieszeni futra flakoniki z lekarstwami i postawiła je na stoliku nocnym.

– Nie zapomni pani? Dawkowanie zapisałam na opakowaniu... – Nachyliła się do mnie. – Jest pani bardzo blada... Myślę, że dobrze pani zrobią trzy dni poza Paryżem. Blisko domu jest las, można się wybrać na piękny spacer. – Przesunęła dłonią po moim czole. – Proszę się położyć.

Położyłam się, kazała mi zdjąć płaszcz.

– Mam wrażenie, że w tej chwili trzeba pani dopilnować. – Ona także zdjęła futro i okryła mnie nim. – Nie grzeją jeszcze u pani... Musi pani przenieść się na zimę do mnie.

Siedziała na skraju łóżka, znowu wpatrując się we mnie zielonymi oczami.

Wysiadłam na stacji Porte-Maillot i ruszyłam ulicą biegnącą wzdłuż ogrodu botanicznego. Było zimno, lecz świeciło słońce, a niebo miało przejrzystą błękitną barwę, być może taką jak w Maroku. W domu Valadierów wszystkie okiennice były pozamykane. W chwili gdy miałam zadzwonić, zauważyłam kopertę wsuniętą pod drzwi. Podniosłam ją. Był to list, który we środę wysłałam z poczty przy place des Abbesses. Zadzwoniłam. Nikt nie podszedł do drzwi.

Poczekalam chwilę, siedząc na stopniu przed wejściem. Słońce mnie oślepiało. Potem wstałam i ponownie zadzwoniłam. W końcu pomyślałam, że nie warto czekać. Wyprowadzili się. Dom z pewnością opieczętowano. Przeczuwałam to zresztą ostatnio.

Trzymałam list w ręce. I czułam, że wraca zawrót głowy. Doznawałam go od dawna, od czasów Fossombronne, gdzie wprawiałam się w przechodzeniu przez most. Za pierwszym razem pokonywałam go biegiem, za drugim szybkim krokiem, za trzecim zmuszałam się, by iść jak najwolniej samym środkiem mostu. I teraz także należało maszerować wolno, z dala od poręczy, powtarzając sobie uspokajające słowa. Bar-sur-Aube. Farmaceutka. Blisko domu jest las, można się wybrać na piękny spacer. Szłam ulicą biegnącą wzdłuż ogrodu botanicznego, oddalałam się od domu o zamkniętych okiennicach. Zawrót głowy narastał coraz bardziej. Powstał z powodu tego listu wsuniętego na darmo pod drzwi, listu, którego nikt nigdy nie otworzył. A przecież wysłałam go z poczty przy place des Abbesses, z poczty jak każda inna w Paryżu, we Francji. Listy do mnie, które przychodziły z Maroka, musiały pozostać zapieczętowane jak ten. Na kopercie miały adres zły albo napisany z błędem i to wystarczyło, aby

ginęły jeden po drugim w jakiejś nieznannej placówce pocztowej. Chyba że odsyłano je do Maroka, lecz tam już nie miał kto ich odebrać. Zgubiły się jak pies.

\*

Kiedy wyszłam z metra, słońce świeciło nadal na niebie błękitnym jak w Maroku. Wstąpiłam do sklepu Monoprix przy rue Fontaine i kupiłam butelkę wody mineralnej oraz tabliczkę czekolady mlecznej bez orzechów. Przecięłam place Blanche i na skróty poszłam przez rue Puget.

W pokoju usiadłam na łóżku twarzą do okna. Mineralną postawiłam na podłodze, a czekoladę położyłam na łóżku. Otworzyłam jeden z flakoników, które dała mi farmaceutka, i wysypałam część proszków na dłoń. Małych białych proszków. Wrzuciłam je do ust i połknęłam, popijając łykiem wody z butelki. Następnie odgryzłam kawałek czekolady. I tak kilka razy. Z czekoladą przechodziły lepiej.

\*

Z początku nie wiedziałam, gdzie jestem. Białe ściany, światło elektryczne. Leżałam na łóżku, ale nie na tym przy rue Coustou. Nie było poduszki. Głowę miałam płasko na prześcieradle. Ciemnowłosa pielęgniarka przyniosła mi jogurt. Postawiła go w pewnej odległości za moją głowę na prześcieradle. Powiedziałam: „Nie mogę dosięgnąć”. A ona na to: „Proszę sobie radzić. Musi pani podjąć wysiłek”. Odeszła. Zalałam się łzami.

Znajdowałam się w wielkiej szklanej klatce. Rozejrzałam się wokół. Inne szklane klatki zawierały akwaria. Z pewnością farmaceutka przywiozła mnie tutaj. Byłyśmy umówione na szóstą wieczór na wyjazd do Bar-sur-Aube. Zdawało mi się, że w akwariach poruszają się jakieś cienie, może ryby. Słyszałam coraz głośniejszy szum kaskad. Dawno temu

zostałam uwięziona w lodach, które puszczały teraz ze szmerem spływającej wody. Zastanawiałam się, czym mogą być te cienie w akwariach. Później mi wyjaśniono, że zabrakło łóżek i umieszczono mnie w sali wcześnieaków. Długo jeszcze słyszałam szmer kaskad – znak, że dla mnie także od tego dnia zaczynało się życie.